



Barbara Nawrocka-Dońska

ZATRUTY BLUSZCZ



Czytelnik • Warszawa 1977

Okładkę projektowała

JOANNA MARCZEWSKA

„Czytelnik”, Warszawa 1977.

Wydanie I

Nakład 100290 egz.

Ark, wyd. 6,9; ark, druk. 9,5.

Papier offsetowy ki. V, 60 g, 93 cm.

Oddano do składania 17II1977.

Podpisano do druku 11 VI 1977.

Druk ukończono w czerwcu 1977 r.

Zakłady Graf. „Dom Słowa Polskiego”

w W-wie

Zam, wyd. 97;

druk. 1401/k. F-21.

Cena zł 25-

Printed in Poland

Rozdział 1

Na dole, trzy piętra niżej, roztopiony asfalt błyszczał jak płynna smoła w rozgrzanym na węglach kociołku. Miasto, kamienie, bruki dyszały upałem. Gęsty bluszcz oplatał balkon, zakrywał go szczelnie przed okiem przechodniów. Gęstwina pnączy ochraniała wnętrze loggi, czyniąc z niej zieloną oazę w środku miasta. Skomplikowany system rurek milimetrowej średnicy doprowadzał wodę i utrzymywał stałą wilgoć w podłożu rośliny. Woda ciurkała i szeleściła, płynęła wolno, spokojnie, ale skutecznie. Korzenie pnącza trzymały się mocno drobin zapewniających rowki blach ściekowych.

Trzeba całymi latami hodować pnącze, żeby osiągnąć taki efekt - pomyślał kapitan Korda - i lubić roślinność. To spostrzeżenie nastroiło go przychylnie do właściciela mieszkania. - Muszę powiedzieć chłopakom, żeby utrzymali dopływ wody. Szkoda zmarnować tyle pracy.

Zrobił krok do przodu, chciał się oprzeć o balustradę balkonu. Rozmyślił się. Lepiej, żeby go nikt nie oglądał z dołu. Z miejsca, w którym stał, widział korony drzew, pustą przestrzeń zieleńca, kurz wytyczonych między trawnikami pieszych ciągów.

Osiedle zbudowano w ostatnich latach. Nikt nie miał sąsiadów z przeciwka. Patrzyło się na drzewa, trawniki, na obudowane piaskowcem geometryczne figury kwietników albo na niebo. Przestrzeń, światło, słońce i zieleń.

Korda westchnął - i kompletny brak świadków. Wrócił do pokoju, pozostawiając otworem drzwi balkonu. Obok tapczanu wbudowanego w biblioteczną półkę - tam mieścił się też niewielki barek, miejsce na radio i telewizor - stała fotografia. Wziął w ręce ramkę ze zdjęciem, ale nie spojrział. Próbował zapamiętać kombinację meblo-półki, zajmującej jedną ścianę pokoju. Rozwiązywała cały problem umeblowania pożytecznego. Resztę powierzchni mieszkalnej zostawiała na przyjemności - puszysty, nylonowy dywanik, wygodny, długi fotel, kilka świeżej, ogromny wazon z chińskiej porcelany, postawiony wprost na podłodze.

Człowiek z fotografii umiał mieszkać. Był wygodny, ale nie sadził się na zbytek. Wykorzystał właściwie światło, powietrze, przestrzeń - zagospodarował je roślinami i drewnem.

Kapitan wyrobił sobie o nim zdanie. Teraz - mógł przyjrzeć się zdjęciu.

Był to niewątpliwie piękny mężczyzna, chociaż przeszedł swoją smugę cienia. Minął już szczyt męskich lat. Zdjęcie promieniowało jednak nadal urodą i ciepłem. Uśmiech, odbijający się w jego oczach, na pewno zdobywał zaufanie dziewcząt. Dzieci lubią wsuwać rączki w podobną dłoń - wrażliwą i czułą. Za takimi mężczyznami snują się kobiety i psy. Koty moszczą się zaraz na kolanach.

Korda zbyt mocno postawił ramkę obok tapczanu. On też w ciągu trzech kwadransów spędzonych tu samotnie polubił mężczyznę z fotografii.

Mimo wrzawy, jaką robi się wokół wielkich gwiazd w okresie powodzenia, ten mężczyzna był chyba zawsze zamyślony nad sobą i zapewne dlatego tak diabelnie sympatyczny.

Kapitan odruchowo usiadł na tapczanie, ale znów się poderwał, wyszedł na balkon, odsunął leżak od wiklinowego stolika i usadowił się wygodnie.

Miał przed sobą nie tknięte nakrycie. Lniana serweta w

słoneczniki przykrywała stolik. Stała na nim butelka wina, tacka z syfonem, filiżanki do kawy, pudełko marmoladek, wygodny termos w kształcie dzbanka. Korda machinalnie wyjął korek. Rozszedł się zapach dobrej kawy, parowała, była jeszcze gorąca.

Czekał na kogoś - pomyślał i zauważył, że brakuje spodeczków, nie ma łyżeczek ani cukru.

Otworzyły się drzwi w miniaturowym przedpokoiku. W tym mieszkaniu tylko pokój był wielki i loggia.

- Zygmun? - powiedział bez zastanowienia.

- Ja.

Porucznik odsunął drugi leżak i usiadł na wprost Kordy. Przedzielał ich stolik. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przejechał nią po twarzy.

- Niemożliwy upał.

Zdjął marynarkę, na koszuli rozchodziły się plamy wilgoci. Właśnie tamtędy dotarł do rozpalonej skóry chłód zielonego bluszczu.

- Jak tu przyjemnie - zdumiał się Zygmunt.

- Właśnie!

- Co właśnie? - powtórzył młody człowiek z roztargnieniem.

- Umierać na t a k i m balkonie.

- Uhm. Ale on stąd wyskoczył.

- Właśnie. Po co?

- Diabli wiedzą. Nie lubię samobójstw. Jeśli mam powiedzieć prawdę, wolę morderstwo, wszystko, tylko nie ciszę, jaką zostawia za sobą samobójca.

- Niektórzy piszą listy do żyjących... - Korda uśmiechnął się. - Jesteś rasowym dochodzeniowym, Zygmunt. Drażnią cię tajemnice.

- Napiliśmy się kawy.

- Masz kran z wodą w kuchni - odparł Korda cierpko.

Zygmunt podniósł się ze stęknięciem z leżaka. - Taki gips.

Zasłużony artysta! Dobra emerytura. Ordery, dyplomy, wyróżnienia.

- Zauważyłeś - powiedział Korda w zamyśleniu - na ścianach żadnych fotosów, żadnych gwiazd, wczorajszych ani dzisiejszych. Nie ma plakatów, dyplomów, gratulacji. On z tym skończył. Kiedy?

- Łatwo się dowiedzieć - odpowiedział głos z kuchni. - Wystarczy popytać w operze, w operetce. Kolegów, koleżanki. Psiakrew, mógłbym dziś Wisłę wyłopać.

- Spróbuj nie pić.

- Nie jestem wielbłądem. Aha, kapitanie, uwolnijcie mnie od tej piekielnej baby z pieskiem!

Korda oparł się plecami o leżak.

- Muszę zaprowadzić bluszcz na balkonie. Sęk w systemie nawadniającym.

- Mówiłem o psie. Dokładnie o babie z psem!

Kapitan chwilę milczał.

- Gdyby nie ona, być może, zgodzilibyśmy się na tragiczny wypadek.

- Wskoczyłbym jutro na ryby, nad Narew - rozmarzył się Zygmunt. - Angielski chart... psiakość!

- Dzięki głupiemu szczeniakowi mamy jakiegoś świadka wypadku.

- Ee tam, świadek, który niczego nie widział, biegł tylko za ogonem jakiegoś szczyla!

- Może jednak coś się spoza tego ogona wyłoni... - zakpił Korda, ale zaraz spochmurniał, wracając spojrzeniem do nie tkniętego nakrycia.

- Trzecie piętro - mruknął Zygmunt - chyba nie miał żadnych szans, co?

- Nie, raczej nie. Z trzeciego rzadko się udaje. Musimy mieć osobę, na którą czekał. - Korda sformułował poprzednią myśl i zrobił to z uporem, który dobrze znali jego ludzie.

- Znajdziemy - zgodził się z nim Zygmunt bez wahania,

ale ogarnęła go niechęć, bo taki upór u kapitana wróżył mnóstwo komplikacji. Urlop odsuwał się w nieokreśloną bliżej dal.

Korda spojrzął spod oka na swego zastępcę. Wcale nie poczuł skruchy. Przeciwnie - rosła w nim decyzja dokładnego przewentylowania życia Andrzeja Gandera.

- Gdzie on studiował? Pamiętasz?
- We Florencji.

Korda wyciągnął się po domowemu na leżaku, stwarzając nieświadomie intymny nastrój.

- Śpiewał w la Scali. Był naszym najlepszym tenorem. Potem - struny głosowe. Utrata głosu. Koniec powodzenia.

- Niezupełnie. Łaska tłumu odwróciła się od niego, ale został fenomenalny głos na płytach. Nikt mu tego nie odbierze.

- Pracował, zdaje się, jakiś czas w operetce?

- Tak. Stamtąd dostał emeryturę dla zasłużonych.

- Dlaczego zasłużonych? Wcześniej odszedł z teatru.

- Uważasz, że nie zarobił, co? Zarobił. Przyjechał z Włoch zaraz po wojnie. Z nikim się nie targował. Nie było sal koncertowych, śpiewał na estradach zbitych z desek. Gdzie popadło. Wtedy zniszczył sobie gardło.

- Chcecie powiedzieć, kapitanie, że mógłby składać dolary na koncie jakiegoś banku we Włoszech albo w Stanach?

- Mógłby, ale nie chciał. I dlatego my odtworzymy sobie te lata jego życia - kapitan kiwnął głową w kierunku stolika, przy którym siedzieli - od chwili zejścia z desek teatralnych do momentu nakrycia tego stołu serwetą w słoneczniki. To będzie tylko wyrównaniem rachunku.

- Starczy, jeśli będziemy w porządku, kapitanie.

Korda mógł się na to także zgodzić.

Rozdział 2

Jowanka stanęła w progu pokoju. Mieszkanie Lidii było zawsze szare i opuszczone. Za każdym razem, kiedy tu przychodziła, doznawała paskudnego uczucia chandry.

- Dlaczego nie wchodzisz? - zapytała Lidka. Siedziała nad cerowaniem - nijaka, jak jej mieszkanie.

Gdybym ja czekała kilka lat na swój ką - myślała Jowanka - i gdybym go zdobyła, wkładałabym w niego każdy grosz, wszystkie siły. Przejechała spojrzeniem po sprzętach bez wyrazu, pustych ścianach, gołych oknach. Ona się nigdy nie zbędzie prowincjonalizmu - pomyślała o Lidce. - Nie może wyżyć z naszego miasteczka. Z rodzinnego domu zaszydełkowanego na śmierć. Całe dzieciństwo łabędzie pływały jej nad kredensem. Ech, a ja z tego wyszłam. Czasem mam uczucie, że ani przez pięć minut nie chowałam się w takim domu. Czy to zasługa Sławka? Nieprawda. Chciałam się czegoś nauczyć, pozbyć się garbu.

- Lidka, dlaczego nie pójdziesz do kosmetyczki? Do fryzjera? Dlaczego nie zadbasz trochę o mieszkanie? Nikt ci go nie dał w prezencie. Ciężko na niego harowałaś.

Jowanka mówiła wbrew sobie, ponieważ robiła to za każdym razem, gdy tu przychodziła. Lidka rzuciła robotę.

- Po to przyszłaś? - zaczęła koleżankę już z jawnym gniewem. - Znów mi dokuczać? Krytykować mnie? Ja taka jestem!

- Bzdury! - orzekła Jowanka z lekceważeniem, wcale nie przejmując się reakcją koleżanki. - Ty chcesz być taka. Spójrz na mnie!

- Przestań, Jowanka - zniecierpliwiła się Lidka - też porównanie. Twoje warunki i moje! Ty masz Sławka.

- Mam? - zadrwiła Jowanka. - Może. Widuję go przez miesiąc w roku.

- Nie o to chodzi - mruknęła Lidka. - Wejdz, rozgość się, jeśli tu przysłaś.

- Wolałabyś, żebym nie przychodziła, co? - zaśmiała się Jowanka. - Nic z tego. Będę przychodzić, nie wypłosisz mnie. Co by się z tobą stało beze mnie? W końcu razem chodziliśmy siusiac do sadu. Mój ty Boże, taki tam sad! Cztery cherlawe drzewka, za którymi nie można się było dobrze schować przed chłopakami z sąsiedztwa. Ty masz podły charakter, ale swoich się nie zostawia. Nie chcesz się niczego nauczyć i dlatego omija cię byle powodzenie.

- Po pierwsze, nie wyrażaj się, Jowanka! Po drugie...

- Ojej, zapomniałaś, jak się w chałupie mówiło...

- Tak, zapomniałam. Nieprawda, że nie chcę się niczego nauczyć. Ja się po prostu uczę czegoś innego niż ty. Wcale nie mam podłego charakteru. Rozbierz się. Nie za garco ci?

- Nie!

Jowanka zrzuciła wiosenny płaszczyk, nie troszcząc się o niego. Lidka podniosła go z tapczanu, włożyła na wieszak i wsunęła do szafy.

- Sławek mi go przysłał - poinformowała ją Jowanka.

- Gdzie on teraz jest?

- Na Cejlonie. Diabli go wiedzą, gdzie - Jowanka wzruszyła ramionami - nie wiem. Z geografii miałam zawsze dwójkę. - Usiadła niedbale na wąskim tapczanie Lidki. - O rany, twardy mebel. Kup sobie lepszy. W handlu nie zarabia się źle.

- Jak to? - mruknęła Lidka.

- Pewnie! Kto głupi!

- Jowanka, ty za kimś nie tęsknisz? - spytała nagle Lidka dziecinnie. - Tak ciągle sama.

- Daj mi coś pić - rozkazała Jowanka. - Niby za kim mam tęsknić?

- Nie wiem. Chcesz coli? Herbaty?

- Coli. Co mam poradzić, że nie mamy nawet dziecka? -

rozniewała się elegancka kobieta. Jej głos i sposób mówienia stał w sprzeczności z wyglądem zewnętrznym. Być może właśnie dlatego tutaj przychodziła. Wracała od czasu do czasu do siebie. Dawała sobie odpocząć od siebie takiej, jaką sama stworzyła. - On nie ma nawet czasu zrobić mi dziecka. Pływa w dalekowschodnie rejsy. Nigdy nie wiadomo, kiedy wróci ani z jakim ładunkiem popłynie. Dopada do mnie, jakby zaraz jego statek miał się dostać w cyklon. Nie potrafię tak zająć w ciążę - powiedziała ciszej świetnie ubrana dziewczyna. - No i co? Jesteś zadowolona? Masz moje szczęście. Czy to znaczy jednak, że mam się zachowywać tak jak ty? Mieć szarocytrynową skórę i skudlony łeb, żeby się wszyscy cieszyli!

- Daj spokój, Jowanka - poprosiła nagle miękko druga dziewczyna.

- Ja... ja też pozostanę zawsze dziewczyną z małego miasteczka. Ale tak, żeby nikt tego nigdy nie zobaczył. Ja też chciałabym się w niedziele i święta porzuciwać z mężem pod pierzynami. I co z tego?

- Bo kto wychodzi za marynarza - odważyła się wypowiedzieć swoje zdanie Lidka.

Gdyby Jowance było lżej na duszy, roześmiałyby się z obrażeń Lidki o życiu i o mężczyznach.

- Co ty gadasz - zaprotestowała obojętnie - marynarze też chcą mieć rodziny. - Czy tylko oni są teraz poza domem? Takie czasy.

- No więc, czego się skarżysz? - zniecierpliwiła się Lidka.

- A czy ja coś na niego kiedyś powiedziałam?! - oburzyła się Jowanka. - Sławek jest porządnym chłopcem. Co ja zrobię, nie potrafię udawać, że stałe osamotnienie jest dla mnie wymarzonym stanem? Skąd miałam wiedzieć, że moje małżeństwo będzie tylko czekaniem? Nie ma z kim pójść na zabawę, na spacer, do kina. Nawet w Sylwestra siedzę sama. Żaden chłopak nie będzie towarzyszył dziewczynie na piękne oczy.

Niby nie wiesz tego. Ja mam dwadzieścia cztery lata. Kiedy będę żyć, Lidio?

- Nie powiesz mi, że nie wiedziałas, co robisz?

Jowanka wzruszyła ramionami.

- Co tam wie, rozumie, dwudziestoletnia smarkata na drugim roku studiów. Uniwersytet przez niego rzuciłam.

- Możesz teraz skończyć. Masz za dużo wolnego czasu.

- Już mi się nie chce, rozumiesz? - powiedziała Jowanka kapryśnie. - Nie mam dopingu, wiesz? Kiedyś chciałam się dostać do wielkiego miasta. Osiągnęłam cel. Mam pieniądze. Czy to ważne, że nie ja je zarabiam? Niczego mi nie brakuje.

- Powiedz, Jowanka - zapytała druga dziewczyna - chciałabyś kogoś mieć? Możesz mi nie odpowiadać, jeśli nie chcesz.

- Mogę ci odpowiedzieć - zaśmiała się Jowanka. - Ja Sławka, w ogóle... kochałam. Jakżeśmy się pobierali. A teraz nie wiem. Ja go niemal zapominam od zobaczenia do zobaczenia. Mało o nim wiem, bo spotykamy się na krótko, a wtedy nie wiadomo, o czym najpierw mówić. Jak można być z kimś blisko w takich warunkach? Sławek daje mi w życiu pozycję i... on mnie naprawdę kocha. Nie umiem się zdecydować. Och, dajmy temu spokój.

- Przenieś się może do Gdyni? Będziesz zawsze bliżej Sławka. Chociażby jego środowiska.

- Za nic! - krzyknęła namiętnie Jowanka. - I stać w porcie jak inne kobiety? Nie! Nigdy. Zajmować się plotami, intrygami. To normalka, gdy baby nie mają nic do roboty, tylko czekają, są ubrane, nie muszą się gryźć, w jaki sposób dociągnąć do pierwszego. Czy same nie jesteśmy babami? Nie znamy się? Wolę już być tu. Tutaj mam przynajmniej pozór normalnego życia. I tak jakoś zleci od rejsu do rejsu. Dawniej pływałam na Wietnam i umierałam ze strachu. Nie umiałam być świnią, bo to tak, jakby on był na wojnie... Skończył się Wietnam, był Laos, Kambodża. Zawsze coś będzie, Lidka. Jak

teraz przyjedzie, zrobię wszystko, żeby mieć chociaż dziecko. Czasami po nocach, wiesz, chce mi się krzyczeć, łykam eleanium, nie mogę zasnąć, duszę się z gorąca, wstaję, spaceruję. Do diabła, po co ja ci to wszystko mówię? Wstyd, nie? Ale to jest piekło, Lidia. Zastanawiam się, o czym tam, na morzu, myśli, tak mnie zostawiając. Czy mężczyźni w ogóle wiedzą, że samotna dziewczyna tak samo się męczy jak chłopak? Jak myślisz, Lidia?

Poczuła na plecach ręce towarzyszek dziecinnych zabaw. Razem chodziły do małej, niemal wiejskiej jeszcze szkoły, nie takiej, jakie są teraz - zbiorczej.

- Biedna Jowanka - mówiła cicho Lidka - biedna Jowanka.

- Daj spokój! - nastroszyła się nagle Jowanka. Wstała z tapczanu. Miała długie, smukłe nogi, które „robiły” jej sylwetkę. „Ubierały” ją lepiej niż wszystko, co miała na sobie. - Nie warto się mazać, Lidka - stwierdziła oschle, niezadowolona z siebie. - Ty jedna potrafisz wyciągnąć ze mnie słabość. Coś lepszego, co tam jeszcze we mnie siedzi. - Sięgnęła po płaszczyk. - Masz coś do załatwienia w mieście? Mam na dole wóz. Mogę cię podrzucić.

- Poczekaj - namyśliła się Lidka - mam o dwunastej spotkanie. Podrzucić mnie na plac Konstytucji.

- Chłopak?

- Bo ja wiem? Tak, mężczyzna - odparła Lidka skrycie.

- To wspaniale, Lidka! Zmądrzałaś!

- Tak myślisz? - zawahała się Lidka, jakby coś chciała powiedzieć i jednocześnie to samo ją powstrzymywało. Wyciągnęła z szafy świeżą spódnicę i bluzkę. Jowanka chodziła tymczasem po bezimiennym, obojętnym pokoju. To mieszkanie wyglądało tak, jakby Lidce nic na nim nie zależało.

- Musisz zrobić sobie zasłony do okna - odezwała się

Jowanka. - Chcesz, ja z tobą kupię materiał? Trzeba tu skombinować jakiś fotel, obmyślić światła, postawić jakąś doniczkę, powiesić obrazek albo ceramikę. Żaden mężczyzna nie czułby się tu dobrze. Słyszysz mnie?

- Tak, słyszę.

- Zrobisz, co mówię?

- Tak. Nie wiem. Zrobię. Wracam taka zmęczona. W sklepie trzeba się nastać, nanosić paczek... nie wyobrażasz sobie!

- Co ma jedno do drugiego? - zirytowała się Jowanka. - Jesteś gotowa? Nawet ładna bluzka - obrzuciła Lidkę babskim spojrzeniem. - Polska?

- Nie. Import z Wiednia. Akurat przywieźli. Wzięłam sobie jedną.

- Bardzo mądrze. Jeżeli masz chłopaka. Zadbamy trochę o mieszkanie i zaprosisz go, nie?

- Aa... co tu gadać - zlekceważyła Lidka samą siebie - jak on zechce ślubu, zaproszę. Inaczej - wcale nie. Nikt mnie nie będzie wystawiać na dudka.

Z taką filozofią - myślała Jowanka - nie wyjdzie za męża. Nie ma żadnych szans. Zgubi ją wychowanie, nasze miasteczko, chociaż sto mil dzieli nas już od domu i od starych.

Rozdział 3

Młoda kobieta opowiadała porucznikowi o nabyciu angielskiego charta.

To jest fason przywieźć sobie psa z Anglii - pomyślał porucznik. Słuchał historii psa trzeci raz. Godził się na to, bo kapitan uważał, że za którymś razem zdradzi się z jakąś informacją. Ona wyskoczy z potoku osobistych wynurzeń jak diabełek z pudełka i będzie jedyna, ważna. Dziewczyna go trochę denerwowała. Musiała pochodzić ze skromnego domu, zagraniczne podróże bardzo jej imponowały.

- To była sekunda, wie pan, komu mogło przyjść do głowy, że jakiś wariat skoczy na ludzi...

- Pan Gander nie zagroził niczyjemu bezpieczeństwu - stwierdził porucznik sucho.

- Przypadek! - wykrzyknęła żywo. - Mógł przy okazji równie dobrze kogoś zabić.

Mógł - pomyślał porucznik - masz rację, ty mała, egoistyczna bestyjko.

- Chciałam złapać Bezika, ale pod dom zajechał akurat samochód. Bezik odskoczył ode mnie...

Kapitan ma przeważnie rację - stwierdził porucznik - gada nie to taki proces. Całkiem niezależny od człowieka. Jakieś fragmenty spostrzeżeń zarejestrowanych przez mózg, wypływają na wierzch.

- Szczeniaka trudno przywołać do porządku - mówiła dziewczyna całkiem obojętna na zmiany, jakie zaszły w poruczniku. Nareszcie słuchał po tylu próżnych wysiłkach z jej strony. - Krótko mam tego pieska, nie zdążyłam go wytresować. Na dodatek ta kobieta miała na sobie bluzkę, jakiej dawno szukałam. Haftowaną. Turecką.

- Zaraz - powstrzymał ją porucznik - kto miał bluzkę?

- Kobieta, która wysiadła z samochodu.

- Gdzie ona poszła?

- Weszła na klatkę schodową.

- Na którą?

- Pojęcia nie mam. Nie pamiętam. Po tym wszystkim, co zaraz nastąpiło, chce pan, żebym cośkolwiek pamiętała...

- Czy samochód został, czy odjechał po wypadku?

- Chyba odjechał. Proszę pana, zleciał się tłum ludzi, nie wiadomo skąd, bo przedtem na skwerze były zupełne puchy. Ja i Bezik. Nie mogłam się precyzyjnie po psa. Niczego już nie widziałam.

- Tablicę rejestracyjną zauważyła pani?

- Ależ skąd?! - zawołała - co m n i e mogłyby obchodzić

jakieś tablice przy samochodach! - urwała, zorientowała się, że jest pytana, udziela informacji. Złodowaciała. Była głupia w sposób selektywny. Nie chciała być niczyją informatorką. Nic nie obchodził jej Andrzej Gander, zagasła sława operowa, skończony facet, nie mający pojęcia o big-beacie, wyrzucony za burtę powodzenia. Ona się właśnie rwała do kariery, postanowiła na nią zarobić. Wstała.

- Co do reszty, przyjdzie tutaj mój mąż.
- Tu nie ma żadnej reszty - zauważył porucznik pogodnie - proszę usiąść, chciałbym, aby pani pomogła mi ustalić kilka szczegółów.

Spojrzała na porucznika ironicznie, ale usiadła z powrotem.

- Owszem - powiedziała - my chcemy już mieć spokój.

Każdy by tego chciał - pomyślał - jest to stan idealny, ale rzadko osiągniany.

- Kiedy dokładnie zobaczyła pani samochód? Jaki to był wóz? U was są trzy bloki. Gdzie stanął? Pod którym?

Zaczynała się zastanawiać, liczyć ze słowami, nie jak przedtem wyrzucać tylko fragmentaryczne spostrzeżenia.

- Wysłałam z psem na spacer w samo południe i jeszcze dlatego na skwerze było całkiem pusto. Nie tylko z powodu urlopów. Może przeszłam sto metrów, a może pięćdziesiąt, gdy wóz zajechał. To był polski fiat. Stanął przed środkowym blokiem.

W tym bloku mieszkał Gander - zarejestrował dla siebie porucznik. Spostrzegł, że jej to samo wpadło do głowy.

- Już wiem, na którą ona weszła klatkę - powiedziała dziewczyna zimno - też na środkową. Niemal pod balkonem pana Gandera. Tak. Ale tablic nie widziałam. Pies mnie zirytował. Wyrwał mi się.

- Poznałaby pani tę kobietę?

- Nie. Nie patrzyłam na jej twarz. Na nią. To pech, ale Przyglądałam się tylko bluzce i myślałam, gdzie ją kupiła.

- Kto był jeszcze w samochodzie?

- Nikt. Ona - zdaje się - prowadziła fiata.
- Zdaje się czy na pewno?
- Nie mogę niczego twierdzić na pewno. Pies kosztował mnie dwieście pięćdziesiąt funtów. I tak tanio. Po znajomości.
- Widziała pani, kiedy wóz odjeżdżał?
- Nie.

Mało - myślał porucznik. - Jakiś wóz. Mógł przyjechać do kogokolwiek. Dowiemy się, do kogo.

- Tak, teraz wiem - powiedziała młoda kobieta spokojnie - kiedy nareszcie wyniosłam Bezika z tłumy gapiów, fiata nie było. Przechodziłam z psem na rękę obok środkowego bloku. Sama mieszkam w trzecim. Już jestem pewna, że wtedy żaden samochód nie stał obok chodnika.

To też coś - pomyślał porucznik. - Zanosiło się, że w całej sprawie Gandera nie będziemy mieć ani jednego świadka. Jest ten pies, jego właścicielka. Jest fiat. Nareszcie jakiś punkt zaczepienia.

- Czy mogę iść? - zapytała kobieta.
- Oczywiście. Była pani bardzo uprzejma.

Uśmiechnął się do siebie. Już wydawała mu się całkiem miła. Połączył się z komisariatem blisko osiedla.

- Niech dzielnicowy wywie się, do kogo na kilka minut przed wypadkiem Gandera przyjechała kobieta w pomarańczowym fiacie - zlecił dyżurnemu.

- Bahama yellow - zaśmiał się głos w słuchawce.
- Tak. Bahama, bahama.
- Sprawdź się - odparł dyżurny. - Taki kolor wozu pomaga. Modny.

Porucznik odłożył słuchawkę. Czuł w sobie niemądrą złość. Przyprowadzę kapitanowi tę osobkę, jeśli to była dama w tureckiej bluzce, z fiata bahama yellow. Jestem ciekaw, dla kogo taki mężczyzna skacze z balkonu. Chciałbym zajrzeć jej w oczy. Chyba sam stracę zapał do dziewczyn. Co nam to jednak da, gdy dowiemy się, że ona przestała go kochać, a on

kochał ją nadal szalenie? Nie ma paragrafów osądających koniec miłości. Wymierzających kary za śmierć z miłości. To ludzka, osobista sprawa. Mogłaby być równie dobrze moja, jak kapitana, jak dzielnicowego Świrki... Korda węszy zabójstwo. Kapitan nie wierzy nawet sobie, dopóki wszystkiego nie posprawdza. Uczył nas tego przez wiele lat.

Zajrzał do sąsiedniego pokoju.

- Słuchaj - powiedział do pracującego tam kolegi - gdyby jeszcze przyszła dziewczyna od Bezika, nie wyrzucaj jej. Zmieniłem zdanie. Możesz jej nawet powiedzieć jakiś komplement.

Rozdział 4

Jowanka uśmiechnęła się pod nosem, rzuciła paczkę na tapczan. Lidka idealnie wysprzątała mieszkanie i chociaż nic się przez to nie zmieniło, porządek dobrze nastrajał.

- Kupiłam coś dla ciebie, zgadnij! - zawołała Jowanka.

Przez twarz Lidki przeleciał cień protestu, ale zaraz się pohamowała, bo w taki prosty sposób pomagała Jowance czymś się zająć.

- Jeśli to będzie drogie, żebyś wiedziała, nie wezmę - powiedziała jednak na wszelki wypadek ze swoim uporem nie do pokonania. Ten upór zawsze irytował Jowankę. Kto jednak chciał przyjaźnić się z Lidką, musiał się na nią godzić, jaka była.

- A właśnie, że ładne i tanie! - zawołała Jowanka. - Bawelna.

Rozwijala paczkę ze sznurka, rwąc papier z niecierpliwością. - A ty się, Lidka, musisz wyzbyć skąpstwa z naszego miasteczka. Raz, że mamy teraz zupełnie inne czasy, dwa - nie masz powodu jak kiedyś nasi starzy wyliczać sobie groszy. Ustały wszystkie powody, rozumiesz? Dla nas. To, na co oni oszczędzali, dusili, dla czego życie sobie i nam zatruli,

przystało się liczyć. Pończochy nosi się tydzień, kaloszy się nie wulkanizuje, przy stanikach nie zmienia się gumek. Lidka? Ty te g o jeszcze nie zauważyłaś?

- Czego niby? - burknęła Lidka.

- Zmiany świata. Jesteśmy lżejsi. Cholernie „letcy” - Jowanka uporowała się z paczką i ze sznurkiem, wyjęła z papieru bajecznie kolorowy materiał i rozrzuciła go na tapczanie. - Cudo, nie? Cacuś!

- Czy to dla mnie nie jest za... za kolorowe? W ogóle za jaskrawe na okna? - słabo protestowała, zaskoczona Lidka. - Moje okno to duża płaszczyna ... i...

- Wiem - ucięła Jowanka apodyktycznie - siedem metrów materiału! Moje okna są takie same. Wszędzie w nowym budownictwie okno zajmuje jedną ścianę i musi być barwną, wesołą plamą. Taką, żeby cieszyła oko. Spółdzielnia ci uszyje...

- Nie trzeba - mruknięła Lidka - sama sobie uszyję zasłony. Umiem wymierzyć. Zrobię to lepiej niż spółdzielnia - rzuciła lekceważąco. Stała nad tapczanem, chwilę przyglądała się materiałowi, potem lekko go pogłaskała.

- No? - rzuciła Jowanka z nadzieją - umiem kupić? Nie? Ładny?

- Może być - skapitulowała druga dziewczyna.

Jowanka zaśmiała się serdecznie.

- Zanim ty człowieka za coś pochwalisz, posiwieje i zemrze!

Lidka poszła do kuchenki, przyniosła stamtąd kanapki, nastawiła herbatę i Jowanka wiedziała, że została w ten sposób pochwalona przez towarzyszkę swego dzieciństwa.

- Słuchaj, Jo - odezwała się Lidka jak dawniej, gdy obie były małe i całego, długiego, obco brzmiącego imienia Jowanki nie chciało się dziecku spamiętać. - Ja muszę skoczyć na pocztę. Jakaś paczka z domu leży dla mnie drugi dzień.

Ciągle nie mam czasu. Boję się, że coś się w niej zepsuje i będzie cuchnąć na całą pocztę. Wiesz, mama jeszcze ciągle lubi... Naparz tymczasem herbaty, jest w szafce. To niedaleko. Zaraz wrócę. - Mówiła i zakładała szybko pantofle.

Jowanka najpierw złożyła materiał, potem czajnik zaczął gwizdać, zaparzyła esencję. Wyłączyła gaz i wróciła do pokoju. Przez otwarte okna wchodziły do wnętrza mieszkania zwolnione, zaciszone odgłosy miasta. Jaka szkoda, że Lidka nie ma balkonu - pomyślała. - No, za te pieniądze nie można wymagać wszystkiego. Za to dziewczyna jest samodzielna. Coś ma - swojego. Poszła do łazienki, zapaliła światło. Łazienka była tak samo naga i niezamieszkała, jak reszta mieszkania. Brakowało glazury, jakiejś półeczki nad umywalką, lustra, dywanika pod nogi, słoików z kremami, butelek z wodami, szczotek, grzebieni, ręczników ciepłych w fakturze i barwie. I tutaj zabrakło po prostu kobiecości.

Jowanka rzuciła okiem na zegarek. Lidka nie wracała. Na poczcie pewnie kilometrowe ogony - myślała Jowanka - taka godzina. Poszła znów do pokoju, nudziła się. Otworzyła szafę, chwilę szukała miejsca, gdzie można by ułożyć materiał na zasłony. Wsuwając go na półkę, zawadziła łokciem o pudełko po czekoladkach. Wyjęła pudełko, zamknęła szafę. Z pudełkiem na kolanach usiadła na tapczanie.

Znajdowały się w nim stare i nowe zdjęcia, podobizny ludzi, których znała. Przy nich się chowała i wyrastała. Stali, siedzieli, uśmiechali się na tle swych domów, sadów, pejzażu rodzinnego miasteczka. Uśmiech spełzał powoli z twarzy Jowanki, zastępowało go coś jak tęsknota, ukłucie bólu.

Przerzuciła zdjęcia. Na nowych prezentowali się ludzie, których już nie znała - mężczyźni, kobiety, pewnie znajomi Lidki z pracy, jeszcze z technikum handlowego, na tle ulic,

pomników, mieszkań Warszawy. W pudełku leżało też kilka listów.

Jowanka zabrała się do czytania, zadowolona, że skróci sobie czas oczekiwania. Nigdy nie miały przed sobą tajemnic. To było dawno ustalone, uzgodnione. Nie wymagało weryfikacji tylko dlatego, że zmieniło się środowisko życia, one same, warunki, w jakich się znalazły.

Jowanka czytała najpierw pobieżnie, szukając tylko podpisów, imion nadawców. Po dwóch pierwszych listach przestała jednak szukać męskich imion na końcu kartek. Zaczęła czytać szybko, dokładnie, marszcząc brwi, coraz bardziej pochłonięta treścią.

Ktoś szedł po schodach. Jowanka nie wiedząc dlaczego złożyła listy, starając się przywrócić ich pierwotny porządek. Ułożyła je z powrotem w pudełku i umieściła w szafie na dawnym miejscu. To nie była jednak Lidka i Jowanka miała czas siedzieć bez ruchu na tapczanie, myśleć o tym, co przeczytała, miała czas się dziwić i odkrywać, że można znać kogoś całe życie, latami, można stawiać z nim babki z piasku, obrywać dwóje w szkole, potem kochać się w tych samych chłopcach i nic nie wiedzieć o drugiej dziewczynie, koleżance, przyjaciółce.

Lidka zaskoczyła ją niemal nadejściem, tak zamyśliła się nad sobą i nad towarzyszką swego dzieciństwa.

- Jowanka - mówiła Lidka, stojąc o krok od tapczanu. - Jowanka, co ty? Śpisz!

- Tak? - zapytała Jowanka nedorzecznie i podniosła głowę. - Ale skąd? Śpię! Też pomysł! Długo cię nie było.

- Zaparzyłaś herbatę? - już gderała po swojemu Lidka i Jowanka patrząc na nią, słuchając jej, znów uwierzyła, że niczego się przed chwilą nie dowiedziała, nic się w Lidce nie zmieniło. Roześmiała się.

- Pewnie, że zaparzyłam! - odpowiedziała zaczepnie, po swojemu, i Lidkę też ogarnęła niezrozumiała ulga.

- No, dobrze! Już myślałam, że coś ci się stało.
- Dlaczego? - spytała Jowanka ciekawie.
- Pojęcia nie mam - zastanowiła się Lidka - nie wiem. Wiem. Ja ciebie nigdy nie widziałam siedzącej bez ruchu. Ty i słup soli to ostatnie porównanie, jakie się może nasunąć.

- A co? - ciągnęła dalej Jowanka - siedziałam jak słup soli?

- Coś takiego - uśmiechnęła się Lidka.

- Chcesz powiedzieć, że nie mam natury skorej do zamysleń, prawda? - zadrwiła Jowanka.

Lidka zmieszana się, jakby ją przyłapano na gorącym uczynku, ponieważ tak naprawdę myślała o Jo i za nic nie chciałyby się do tego przyznać.

- Nie męcz się, Lidka! - roześmiała się drwiąco Jowanka.

- Nie bądź taka delikatna. Ja nie jestem delikatna i nie mam nikomu za złe szczerości. To prawda. Ale ja tylko nie chcę za dużo myśleć. Nie wiem, co bym musiała zrobić, gdybym się zechciała porządnie zastanowić nad sobą. Rozumiesz, ty durna? Muszę przecież jakoś żyć. Możliwie znośnie. A że to nie jest ideał, o jakim myślałyśmy w szkole? - wzruszyła ramionami.

- Mogłabyś więcej czytać - powiedziała Lidka ze swoją cudowną naiwnością. - Posiedzieć potem i pomyśleć, co przeczytałaś, wiesz? Mnie to sprawia przyjemność. Nalej herbaty, Jo. Zobaczę, co mama zapakowała. Żeby tylko nie kiełbasę! Trzydzieści dwa stopnie ciepła w cieniu! Mama uważa, że co kiełbasa z domu, to z domu... może się jakoś dotrzyma, a jeśli nie, wola boska.

- Znamy to, znamy - mruzczała Jowanka, niosąc z kuchni szklanki z herbatą.

W paczce leżały na szczęście same jabłka, pierwsze papierówki, i suchy placek. Od razu dobrały się do placeka, jak dawniej, gdy miały po cztery lata i zapychały sobie tak usta, że wcale nie mogły rozmawiać. Później usiadły naprzeciwko

siebie przy stole nad herbatą i wybuchnęły śmiechem. Śmiały się do łez, pękały ze śmiechu, spadały z krzesel.

- Pamiętajsz, Jo, naszą zabawę w rozśmieszanie? - mówiła Lidka dusząc się jeszcze i ocierając kułakiem łzy płynące z oczu - co jednak domowy placek, to domowy!

- Jeszcze kruchy! - dorzuciła Jowanka.

- Niech tam będzie małe miasteczko i okropni ludzie, ale swoi! Ale dom, Jo! Dom, w którym zawsze cię pamiętają, upieką dla ciebie placek i przyślą ci go w samym środku lata, jakby w Warszawie nie było na każdym kroku kawiarni. Poczciwa mama. Jowanka przecierała lustro i usuwała drobiny tuszu spod oczu, obserwowana uważnie przez Lidkę.

- Chcesz papierówkę? - zaproponowała Lidka, wbijając zęby w jabłko.

Jowanka przerwała swoją czynność i wpatrzyła się milcząco w Lidkę.

- No, co się tak na mnie patrzysz? - zniecierpliwiła się Lidka. - Nigdy mnie nie widziałaś? Tak się patrzysz, że człowiek nie wie, co myśleć.

- Och, nic! - zbagatelizowała Jowanka i odwróciła wzrok od Lidki. - Pożycz mi swoją bluzkę - poprosiła niezdecydowanie.

- Jaką znowu bluzkę? - zdziwiła się Lidka. - Tę, wiedeńską... Zlituj się, Jo! Na co ci moja bluzka? Masz takich ze dwa tuziny.

- A mnie się właśnie podoba ta - powiedziała Jowanka kapryśnie, jak kobieta przyzwyczajona, że wszyscy jej ustępują.

- Ależ dobrze - wzruszyła ramionami Lidka - to dla mnie niemal zaszczyt...

- Przestań! - rzuciła Jowanka ostro, nieprzyjemnie. - Gdybyś mi jedno słowo powiedziała, Jo, schowałabym dla

ciebie drugą. Teraz już nie ma. Ludzie się rzucili i rozkupili.

- Ach, tak jakoś - mruknęła Jowanka niechętnie - czegoś sobie nie kupię, co mi się podoba, właśnie dlatego, że mam tyle rzeczy.

Lidka wyciągnęła bluzkę z szafy, przy okazji zauważyła schowane zastony.

- Dziękuję. Jesteś bardzo porządna, Jo. - Ach, po co mają się brudzić. Nie prane będą dłużej wisieć.

- Jo! - wykrzyknęła Lidka. - jak ci dobrze w tej bluzce. Ona jest zrobiona dla ciebie.

- Psiakość - martwiła się Jowanka j obracając się w lustrze - ten kolor wymaga zielonej spódnicy. Nie mam zielonej spódnicy.

- Chcesz? - zaproponowała Lidka, nabrawszy nagle pewności siebie - dam ci swoją. Znasz ją. Do niej kupiłam bluzkę.

- Mówisz? - przeciągnęła Jowanka niezdecydowanie. - Dobra. Pożyczam bluzkę i spódnicę. Oddam ci w końcu tygodnia. Starczy?

- Pewnie - przygasała Lidka. - Całe dni stoję za ladą. Zamykamy o siódmej. Wieczorami nóg nie czuję. Jestem nieprzytomna. Użeranie się z ludźmi, dla kierowniczkki nigdy nie pracujemy dość dobrze. Wiesz, jacy ludzie są nieznośni. Kto nie może dostać czegoś, czego szuka, wyładowuje się na sprzedawcy. Praktycznie tylko niedziele mam wolne. Wtedy mogę się z kimś umówić. Ubrać. Ale nigdy nie mam wolnej głowy.

Mogłaby się już nauczyć - myślała Jowanka - że do pracy trzeba się tak samo dobrze ubierać, jak po pracy. Ja ją jeszcze tego nauczę. Wszystkiego ją nauczę albo pękne. Nie będziemy gorsze od dziewczyn, które wszystko dostały od taty i mamy, od swego losu, i są pewne, że tylko sobie to zawdzięczają.

- Zrobić ci paczkę, Jo? - spytała Lidka.

- Nie. Nie trzeba. Mam torbę. Dużą. Daj mi tylko papier.
- Lidka stanęła w progu, oparła się o framugę drzwi.

- Masz jakieś zmartwienie, Jo? Sławek nie pisze? Nie wiesz, co się z nim dzieje? Powiedz?

Jowanka pokręciła głową.

- Nie mam żadnych zmartwień. To normalne, przerwa w listach. Nie pierwszy raz.

- Po co bierzesz tę bluzkę? - pyta Lidka obcesowo, jak zawsze było między nimi przyjęte.

- Mam wizytę - odpowiada Jowanka obojętnie - właśnie na taką bluzkę.

Zostawiła Lidkę zamyśloną, trochę niespokojną. Trochę zniecierpliwioną wszystkim, czym jest, czym stała się Jowanka, a co w niej tkwiło od zawsze. Zapowiadało się od dziecka. Bez niej jednak byłoby dużo smutniej w życiu i samotniej w stolicy.

Rozdział 5

Kapitan szedł Hożą i zastanawiał się, jak teraz wygląda Alek. Jaki z niego zrobił się człowiek. Co mu życie przydało, co odjęło bezpowrotnie i na szkodę. Nie widział Alka dokładnie dwadzieścia osiem lat. Ich losy potoczyły się znakomicie różnymi drogami. Na przestrzeni tych lat nie było ani jednego skrzyżowania.

Kapitan zwolnił kroku, żeby nie przyjść za wcześnie. Po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat myślał o pustym i ogromnym mieszkaniu, do którego trafił pewnej okupacyjnej nocy. Mieszkanie mieściło się chyba też na Hożej albo na Wilczej. Alek niedaleko odszedł od swoich okupacyjnych szlaków. Przeciwnie niż kapitan Korda.

To mieszkanie było zawsze zimne jak lodówka, bo nie miał się kto wystarać o węgiel do pieców-molochów, obliczonych na ogrzewanie salonów. To było bardzo eleganckie mieszkanie,

całkiem puste po zamordowaniu właścicieli, dwójga denty-
stów. Gestapo wywiozło umeblowanie, samo mieszkanie nie
było dla nich atrakcyjne ze względu na dzielnicę. Żaden Nie-
miec nie chciał mieszkać otoczony polskim morzem. Policja o
nim zapomniała, ktoś się potem tam zameldował, kto prędko
odszedł zieloną granicą na Zachód. Lokal został zapisany w
ewidencji jako zamieszkały, nikt się nim więcej nie przejmowa-
wał. Nagi, odarty i pusty, stał się znakomitym schronieniem
nędzarzy.

Kapitan ani wtedy, ani dziś nie umiałby powiedzieć, jakim
sposobem ta przerażająca echem kroków landara została kon-
spiracyjną metą potrzebujących, uciekających, śledzonych,
ściganych, zabijanych bez różnicy narodowości i przynależno-
ści organizacyjnej.

Nie potrafiłyby też wyjaśnić, jak narodziła się ta idea, kto ją
wymyślił, kto wykonywał konsekwentnie do końca wojny.
Dziś był skłonny przypuścić absurdalne - nikt tego nie wymy-
ślił, wszyscy przestrzegali.

W czasie wojny rodziły się spontaniczne czyny, samorodne
idee. Pomysły, o których się filozofom nie śniło i już nie przy-
śni.

Ścigani, beznadziejnie tropieni, dla których nie było nig-
dzie kryjówki, trafiali do mieszkania na Hożej ze zdumiewają-
cą intuicją. Zazwyczaj ich ciąg w kierunku tego schronienia
poprzedzała jakaś mętna, gdzieś tylko zasłyszana informacja,
gminna wieść. Odchodzący przekazywał klucze przychodzą-
cemu, nikt ich sobie nigdy nie przywłaszczył. Niektórzy kryli
się w zimnych, wysokich salonach pierwszego w Warszawie i
chyba jedynego azylu dla wszystkich - miesiące. Inni dni
albo godziny. Od tych drzwi nikt nie odchodził odprawiony z
niczym, ponieważ nie miał go kto odtrącić. Była to najpierw-
sza upaństwowiona własność bez państwa i prawa.

Było to wspaiałe, oszałamiające urządzenie, wymyślone

przez ludzi dla ludzi. Kapitan odkrył to w tej chwili. Zadumał się nad sobą czy nad faktami tamtej wojny. Nad solidarnością ludzką tak uniwersalną, że z dziwołagów, z siódmych cudów świata, czyniącą rzeczy zwykłe, codzienne, niewarte nawet wspomnienia.

W tej chwili jednak - wspominał. Przyszedł tam nocą. Musiał iść nocą mimo godziny policyjnej, nie miał się gdzie podziać. W całym mieście nie było takiej dziury, w której mógłby się schować. Był śmiertelnie zgoniony i miał akurat dwadzieścia lat. Piękny wiek.

W ciemności nie widział człowieka, który mu otworzył drzwi, a przecież się nie zawahał i wcale się nie bał, przekroczył próg. W takich czasach nie ozwał się w nim nawet cień podejrziwości, tak wielka była siła legendy.

O nic go nie zapytano i on o nic nie pytał. Dopiero o świcie zobaczył swego towarzysza i gospodarza.

- Jest pan tu sam? - zapytał wówczas Korda.

- Na razie tak. Wczoraj odeszło trzech.

- Takich jak pan? - zapytał Korda i usłyszał swoje pytanie znów, jakby je zadawał wczoraj. Szedł Hożą w 1975 roku i słyszał pytanie, postawione w 1943, w jedynym, możliwym dla niego schronieniu w Warszawie, bo ratującym po prostu człowieka.

- Nie - odparł obcy i zatrząsł się z zimna. - Ja nie mam żadnych kontaktów ze swoimi. Myśmy się całkiem pogubili. Na razie muszę ratować tylko życie. Ci trzej byli z AK.

- Gdzie poszli?

Żydowski chłopak wzruszył ramionami, cały dygotał z zimna.

- Mam zapasowy sweter - powiedział Korda - w chlebaku. Skoczę do korytarza.

Ale w korytarzu zgubił się kompletnie i błąkał się po nim, jak po lesie, tak wielki i pusty był hall. Wreszcie odnalazł chlebak rzucony po nocy na ziemię.

- Cholernie zimno - mówił obcy, przywdziewając swe-

ter. Zęby mu szczękały. - Nie do wytrzymania. Chyba miesiąc już się tu nie pali. Zapaliłbym, ale nie było czym. Nie ma pan skąd zdobyć węgla? Znów ktoś przyjdzie. W taką lodownię. Całkiem stracę głos.

- Co? - zaśmiał się Korda i usłyszał tamten swój, dwudziestoletni śmieшек.

- Przeziębnię się, ochrypnię i stracę głos - odpowiedział chłopak z urazą.

Korda przestał się śmiać, spojrzął na towarzysza z zainteresowaniem. Miał swoją prywatną pretensję do tego narodu za to, że tak pokornie umierał, dawał się wytracić. Że zatracił instynkt samozachowawczy i chciał już tylko umierać. Chłopak był bojowcem, jak on, Korda. Rasowym. Nie tylko walczył, myślał o tym, co będzie robił po walce.

- Pan chce kiedyś śpiewać?

- Aha. Mam głos. Tenor.

- W operze? Na estradzie?

- W operze. Chce pan? Arię z Trubadura? Jontka? - Chrząknął, już próbował górny rejestr głosu. Korda był sam młodym wariatem, jak wszyscy wtedy, stojący z zębami i pazurami przeciwko nowoczesnej armii, machinie gestapo i żandarmerii, a przecież się przestraszył.

- Cicho, na miłość... - hamował kolegę serio i obejrzał się po ogromnym, pustym pokoju, jakby siedzieli obaj w okrążeniu i tak poniekąd było.

- Dobra - roześmiał się żydowski chłopak - nie będę śpiewał. Wsio ryba, i tak nie wiem, jak my z tego obaj wyleziemy. Kiepsko z tobą, bracie, co? Węgiel pan skądś wydrapie?

- Wątpię - mruknął Korda.

- No, to moje najlepsze życzenia, zamarniesz tu, bracie, ale sam - przechodził gładko na ty, prawie niedostrzegalnie. Wyciągnął klucze z kieszeni. - Trzymaj. Tyś tu teraz gospodarz. Oddasz następnemu. Kapujesz? Ale nie byle komu. Czekalem na takiego, jak ty. Kompletnemu umarlakowi nie

możesz dawać kluczy, bo co by się stało z następnym? zrozumiałeś? Tamci trzej wiali po wykonanym wyroku, nie nadawali się na gospodarzy, a przedtem jak na złość długo nikt nie przychodził. Tym trzem pistolety dymiły, byli całkiem bezużyteczni. Ale odejść, zanim zmiana nie przyjdzie, też ci nie wolno. Nawet gdybyś umierał z zimna, głodu czy jakiejś innej cholery. Jasne? Powtórzysz to wszystko kolejnemu.

Poprawił na sobie sweter Kordy. - Grzeje - stwierdził z błogą miną - bracie, jak on grzeje! - Ruszył do drzwi. Na progu zatrzymał się, odwrócił do Kordy. Był pięknym chłopcem. Światło padało teraz na niego od okna i drugi chłopiec zobaczył olbrzymie, senne oczy artysty, gęste włosy w pierścieniach, garbek na nosie, długie członki, koci krok konspiracyjatora i mężczyzny pełnego po prostu gracji.

- Zobaczymy się w operze - rzucił Korda całkiem serio i nie wiedział, skąd mu się to wzięło - po wojnie.

- Oddam ci sweter - powiedział żydowski chłopak - zobaczysz, jaki to będzie sweter! Pilnuj kluczy.

Zniknął, trzasnęły drzwi, odszedł. Dokąd? Może gdziekolwiek, gdzie nie było tak zimno, jak w tych salonach. Korda rozejrzał się po opustoszałym nagle pokoju. Tak pustym, jakby nigdy nikogo tu nie było. Skąd zdobyć węgla, pomyślał, chociaż raz, ze dwa przepalić. Ludzie tu zamarzną.

Szedł Hożą i śnił. W 1945 roku na premierze „Halki” pierwszy raz usłyszał Alka, odwiedził go w prowizorycznej garderobie. To było w Łodzi. Jontek zerwał się z krzesła przed lustrem i porwał Kordę w ramiona. Ludzie, świadkowie tej sceny - milczeli.

W miesiąc później kapitan dostał sweter. Najpiękniejszy sweter, jaki posiadał w życiu. Beżowy, miękki, z australijskiej wełny, w czasie, w którym nikt nie słyszał o swetrach. Paradował w nim całe trzy powojenne zimy, w ciepłe pamięci,

przyjaźni, ludzkiej odwagi i dzielności, która zwyciężyła śmierć i zagładę.

Nie pozwalał go nikomu ruszyć, chociaż się przetaił i rozleciał, aż doszczętnie zjadły go mole.

Kim jest teraz Alek? - myślał. - Co zostało w nim z konspiratora, z żołnierza? Co z artysty? Co z fascynującego mężczyzny?

Życie ich obu tak się potoczyło, że kapitan poznawał i poznał każdą dziurę swego kraju. Alek stawał niemal na wszystkich scenach Europy, kilku azjatyckich, na deskach operowych obu Ameryk. Po pięćdziesiątce zaczął reżyserować, oszczędzał się, śpiewał przy wyjątkowych okazjach.

Korda zadzwonił. Siwy Alek z czarnymi, płonącymi oczami, z uśmiechem tamtego chłopca z nocnego mieszkania na Hożej, stał w progu, jak wówczas w prowizorycznej garderobie Jontek, i brał Kordę w ramiona. Coś się w kapitanie na sekundę rozprzęgło, a może po prostu rozluźniło.

- Tyś się nic, Alek, nie zmienił - powiedział z ulgą i czas stanął, a może ruszył z kopyta wstecz, największym błogosławieństwem, bo łaską pamięci, i Korda miał znów dwadzieścia lat, wszystkie złudzenia i nadzieje, całą odwagę świeżo upieczonego pepeerowskiego konspiratora, który w nocnej Warszawie, groźniejszej od dżungli, znalazł bezpieczną kryjówkę i schował się w niej, żeby jeszcze raz ocaleć i przeżyć wojnę.

- A po co miałbym się zmieniać? - zapytał Alek. - Tylko głupcy zmieniają się dla starych przyjaciół. Dla tych, których kochamy, Heniek, chcemy być, jesteśmy i będziemy zawsze tacy sami.

Był nadal artystą i nadal nie stracił cech swego narodu. Dawał z siebie wszystko, gdy kogoś lubił, szanował. Otwierał się, obnażał i gwizdał, jak to zostanie przyjęte, odczytane, ocenione.

- Wiesz, szedłem do ciebie i wydawało mi się, że nic się

nie zmieniło od tamtej nocy, gdy otworzyłeś mi drzwi, ściganemu. Nie czułem czasu, który minął, ani swoich lat. Prawdopodobnie dlatego, że Hoża mało się zmieniła, wiesz? Ona jest warszawska, stara jak miasto, w którym ganialiśmy do szkoły, a później na randki albo z granatami w kieszeniach. Ile wody od tego czasu upłynęło w rzekach, Alek?

- Nie tak znów dużo, Heniek, nie przesadzaj! Ja tam nie czuję się wcale stary.

- Ale masz siwy łeb.

- Jestem jeszcze przystojniejszy, nie?

Nawet w męskiej próżności niedużo się zmienił i nawet jego słabostka sprawiła Kordzie przyjemność.

- Poczekaj, usiądź - kręcił się Alek wokół kapitana. - Stałem chyba z godzinę w Delikatesach, nogi mi włożyły w krzyże, ale zdobyłem trochę szynki. Takiej wiesz, nie za chudej, i gosposia nam szarlotkę upiekła. Ja wiem, że ty lubisz jeść, Heniek.

- A skąd mógłbyś to wiedzieć, Alek? - roześmiał się Korda. - Spotkaliśmy się w takich okolicznościach... w takich okolicznościach, że nawet opowiedzieć ich się nie da.

- Na niucha, na niucha, Heniek. O tych, co się lubi, wie się wszystko, nie wiadomo skąd, kiedy i jak.

- Siedzisz teraz w Polsce? Wyjeżdżasz gdzieś?

- Diabła tam! - roześmiał się Alek. - Nareszcie nie muszę nigdzie jechać. Mogę posiedzieć na Hożej, w najlepszym punkcie globu, jedynym, najwygodniejszym, bo własnym. A ty? Ciągłe w robocie?

- Aha.

- Latka płyną, co by nie powiedzieć... pora na emeryturę.

- Nie wiem, Alek. To jest - wiem. Nie wiem, co ja bym robił w nieróbstwie.

Alek podniósł głowę, uśmiechnął się.

- Po wysłudze lat możesz przejść do każdej pracy.
- Sęk w tym, że mnie interesuje tylko ta.
- Bieda - przyznał Alek - w końcu nic cię nie pili.
- Nie, ale ja już czuję swoje lata, Alek.
- Do diabła z nimi, Heniek! My jesteśmy starzy cwaniacy. Z niejednej dzieży jedliśmy chleb. Myśmy wygrali największą, najcięższą wojnę w historii świata. Może nie? My jesteśmy diabło zdolni, hardzi, nawet pazura nie zahaczysz o żadną szczelinę. Myśmy zawsze wiedzieli, czego chcemy. A ty chcesz akurat czegoś ode mnie, Heniek? Czego? Mów. Jesteś tu u siebie, a moja wiedza o czymkolwiek jest twoją wiedzą.
- Tak. Chcę od ciebie dużo, Alek - westchnął Korda. - Żebyś mi opowiedział czyjeś życie. To trudne. Nie? Obaj o tym wiemy.
- Gandera, tak?
- Tak.

Rozdział 6

Andrzej Gander odłożył książkę, podniósł się z tapczanu. Lubił od niedawna Grahama Greena. Zatrzymał się przed lustrem, przeciągnął i stwierdził, że coraz gorzej wygląda. To mu zepsuło chwilę lepszego samopoczucia.

Nie ogoliłem się - pomyślał - nie chce mi się. Przejechał dłonią po policzku. Spojrzał badawczo w swoje odbicie. Robię się ohydny łobuzem. Znow mam ochotę na kieliszek. Odwrócił się zbyt prędko w stronę stolika z butelką, zawirowało mu w głowie. Upijam się coraz szybciej - stwierdził zimno, obojętnie. - Która to? Dziesiąta, a ja jestem już gotowy. W zeszłym roku osiągałem ten stan koło obiadu. Na przyszły rok zabraknie dnia. Wzruszył ramionami. Oczy miał zapadnięte i podkrążone. Zmusił się jednak do prostego kroku i kosztowało go to sporo wysiłku. Wyszedł na balkon, aby sprawdzić, jak

zielenieje latorośl bluszczu.

Ta roślina wiązała go ciągle, czy nadal na tyle mocno, ze światem, z innymi ludźmi, że nigdy nie chciał, aby sąsiedzi z balkonów dostrzegli, że od dawna pociąga samotnie. Mocno ciągnie. Do roślin chciał i lubił wychodzić, troszczył się, czy dobrze zwilża je woda, i dzięki nim - czuł, chociaż nie lubiłby się do tego przyznać - jeszcze i nadal był człowiekiem. Potrafił powiedzieć sobie nie, odsunąć kieliszek na resztę dnia, wyjść na kolację, ubrać się staranniej, ogolić, oczarować wdziękiem sąsiadkę w windzie dyskretnym urokiem swej męskości, skropionej wodą kolońską. Czystą, innej nie używał, nie lubił męskich wód z zapachami.

Wziął nożyce z leżaka i przyciął dzikie pędy, kładące się na posadzce balkonu.

- Wy byście wtargnęły mi do pokoju - mówił - wlażyły na tapczan, do książek, paskudny bluszcz. Wy macie babskie obyczaje. Nie mam pojęcia, dlaczego was lubię, bo całe życie nie cierpiałem bab, które oplątują człowieka. I co? Zostałeś żałośnie sam. Starzejący się błazen, czarujący sąsiadki w windzie. Tylko tyle już potrafisz, Andrzej. Jeszcze roczek, dwa... nie, dopóki masz balkon, bluszcz... Teraz chciałbyś, żeby objęły cię takie ramiona jak bluszcz, tylko że teraz nie ma już takich kobiet. Ty nie masz na taką szansę, Gander. Och, przestań, stary błaznie, tu nie opera ani teatr... nowoczesny, przeszklony balkon...

Ciekawe, czy dziewczyna przyjdzie? Ma taki charakter piśma, jak pensjonarka. Bluzeczka zapięta pod szyję, zaciśnięte kolana. Chcesz takiej dziewczyny? Och, nie wiem. Nie chcę żadnej dziewczyny ani kobiety, chcę samotności. Nie, nie chcę.

Podniósł się z klęczek, zebrał przycięte, wąsate witki, odłożył nożyce. Balkon trzymał go przy życiu. Dobrze, że go ma i będzie miał.

W pokoju zadzwonił telefon. W prawej trzymając pędy bluszczu, lewą ręką podniósł słuchawkę.

- To ja, Lidka. Pan wie, Lidia Kazimierzak.

Od razu, nagle, zdało mu się, że płynie. Zawód uczynił go wrażliwym na intonację ludzkich głosów. Ten głos był urokliwy, rozkoszny i stał w takiej sprzeczności z literami widniejącymi na białym popularnym papierze listowym, który natchmiasz zobaczył przed oczami, że musiał się roześmiać.

W słuchawce nagle ucichło, jakby dziewczyna tam, po drugiej stronie drutu, zataiła dech.

- Proszę pani - uśmiechnął się Gander - proszę pani, przepraszam... czy pani tam jeszcze jest? - zaniepokoił się w nim mężczyzna.

- Tak, naturalnie, jestem - odpowiedziała kobieta - jaki pan ma piękny głos!

Gander musiał się znów roześmiać i śmiał się tak szczerze, jak nie trafiło mu się już dawno.

Trzeźwiał też w sposób tak oczywisty, że przypało go to niemal o zdumienie.

- Zabawne - odezwał się do dziewczyny - pomyślałem dosłownie to samo o pani głosie.

- Cudownie - powiedziała tylko dziewczyna. Odkrył szybko, że nie jest gęsią, wykluczone, aby nosiła bluzeczkę pod szyję i udawała, że czegoś albo niczego nie rozumie. Kim w takim razie była? Poszukiwaczką przynęt? Mocnego dreszczu? W tej chwili ogarnęło Gandera znużenie i niechęć, gwałtowna ochota na kieliszek. Miał dość takich kobiet, takich ust, takich oczu, takiego życia.

- Proszę pana, pan tam jeszcze jest? - zapytał nagle bardzo nieśmiały głos i on przywrócił Andrzejowi Ganderowi wiarę w siebie, równowagę.

- Śmieszna rozmowa! - powiedział.

- Jak w takiej sytuacji nie być śmieszny? - zapytała dziewczyna. - Pan się sobie nie wydaje śmieszny?

- Nie - odpowiedział spokojnie Gander.
 - No tak, pan sobie może pozwolić na wszystko, prawda? Istotnie - pomyślał Gander - ma rację. Jest inteligentna.
 - Ja dzwonię, proszę pana, ponieważ nie będę mogła być w piątek w Hortexie, jak ustaliliśmy listownie. Pan podał swój telefon, więc dzwonię. Przedtem nie miałam śmiałości. Pisać łatwiej, prawda?
 - Szkoda, że nie będzie pani mogła przyjść - powiedział Gander poważnie - bardzo żałuję.
 - Ale ja nie na w ogóle! - zaprotestowała dziewczyna niespokojnie - czy pan mógłby przełożyć spotkanie ze mną na sobotę i przyjść do kawiarni na Rozdrożu? To jest obok Agrykoli.
 - Mógłbym - odpowiedział. - Dlaczego nie wybrała pani od razu Rozdroża? - chciał się dowiedzieć, ponieważ była to urocza kawiarnia pełna słońca, kamienia i roślin. Wybrałby ją sam na każde spotkanie, nawet samotne, z książką albo gazetą, na małej kawie, podczas spaceru Alejami.
 - Nie wiem - zająknął się głos dziewczyny i Gander poznał, że ją speszył. Wiedział wszystko o kobietach od dawna, może od zawsze. Nie chciał jej zrazić do siebie. Nie jej dokładnie, ale tego głosu, wyobrażenia, które dzięki niemu wyrobił sobie o niej.
 - To obojętne, kawiarnia, proszę pani. Będę w Rozdrożu w sobotę, o piątej, zgoda?
 - Tak - odpowiedziała dziewczyna i w jej głosie Gander wyczuł ulgę - dziękuję panu.
- Po rozmowie stał obok telefonu dość długo, z obciętymi wąsami bluszczu w ręku, chciało mu się pić i nie chciało. Poszedł do łazienki, włączył maszynkę do golenia, potem wyszukał w szafie błękitną koszulę, tę, którą lubił diabelnie i po raz pierwszy od niepamiętnego czasu zachciało mu się żyć.

Wyjść w południe na miasto, a nie mętym wieczorem, gdy zapada zmrok.

Wybrał krawat w kolorze bordo, w delikatne złote kręgi. Na ulicy szalał maj i Andrzej Gander oglądał to zjawisko, z takim zdziwieniem, jakby nie powtarzało się co roku.

Już pory roku mi umykają - pomyślał - maje stają się tak samo obojętne, jak październiki. Muszę z tego wyjść, odważyć się na jakiś desperacki krok. Może zdobyć tę dziewczynę? Po to, żeby jakiś gówniarz złapał ją zaraz na byle samochód, rekord w kopaniu piłki albo we wspinaczce wysokogórskiej - zadrwił z siebie. - Wszystko jedno, nie wiem w czym, do cholery. Znałem tyle kobiet i zawsze każda łapała się na coś, diabli wiedzą na kogo, na coś nieprzewidzianego. W piekle bym się nie domyślił, co ją może złapać, chociaż powtarzało się to już tysiąc razy. Za każdym razem w innym wariancie. Zawsze zdawało mi się, że znam już wszystkie możliwe bzdury, imponujące kobietom, na które można je brać, jak się chce... och, nie mogę... Nie mogę tego jeszcze raz zaczynać. To beznadziejne, bo nie będę miał nigdy takiej, która dałaby się wziąć tylko mnie na ogłoszenie w „Kajusie”. Ostatni numer mego życia. Ale jeżeli się na niego nie zdobędę, zostanę marnym pijaczkiem. Jeszcze rok, jeszcze dwa i będzie prawdziwy koniec Gandera, nie ten w Operze, ale taki, jak stąd do Nowego Jorku. Koniec zwyczajnie człowieka, kłapa, czarna noc. Nie chcę tak skończyć. Mimo wszystko, co wiem, co mnie zrobiły kobiety i co ja im zrobiłem, chcę jeszcze żyć. Nie, odżyć. I chcę jeszcze objąć dziewczynę. Chcę, żeby ona objęła już tylko mnie. Tylko skąd wziąć takie przekonanie? No cóż kontrakt, umowa, jest, powinna być uczciwa. Wyklada się od razu wszystkie karty na stół. Nie ma mowy o cofnięciu którejs.

No cóż, pójdę do Rozdroża, jak robi każdy rozsądny aktor, i obejrzę scenę, na której mam rozegrać swoją jedyną, możliwą stawkę. Jeżeli dziewczyna jest taka, jak jej głos, chcę ją

mieć i będę ją miał. Nie wypiję do soboty ani kieliszka. Wrócę trochę do siebie. A jeśli to ona, nie wypiję nigdy więcej ani jednego kieliszka i będę ją miał, psiakrew, ożenię się, ostatni raz.

Rozdział 7

- Niemożliwe - wyraził powątpiewanie Zygmunt - do nikogo nie przyjeżdżała kobieta w tureckiej bluzce? Pomarańczowy fiat był zjawą? Wymyśliła go, sobie pani Norecka?

- Nie wiem - odpowiedział ze zmęczeniem dzielnicowy. Pot łał mu się po twarzy strumieniami, upał zupełnie go obezwładniał. Porucznik sam z trudem mobilizował się do myślenia nad tajemnicą fiata bahama yellow.

Skoczyłoby się nad Zalew - pomyślał. - Człowiek by się wykapał, później pogadał. Niestety.

- Mózg się roztapia - stęknął dzielnicowy całkiem serio. Co za diabelskie lato. Przepraszam, wezmę prysznic. - Ruszył przez pokój, pociągając nogami.

Zygmunt spojrział w stronę balkonu. Ekipa dochodzeniowa uprzątnęła stół, pociągał już tylko leżak, schowany wezłowie w bujnych liściach bluszczu. Jak było do przewidzenia, niczego w kawie, w winie ani w syfonie nie wykryto. Marmoladki, mimo upału, prezentowały się świeżo i apetycznie, kupione w zabytkowym sklepie Wedla.

Świrko długo nie wychodził z łazienki. Uwagę znudzonego porucznika przyciągnęło wiszące na ścianie lustro. To lustro, jedyne, stanowiło przedmiot luksusu w mieszkaniu Gandera. Dwudziestocentymetrowej grubości kryształ był oszlifowany bocznymi płaszczyznami równie dobrze, jak diament. Jedna, środkowa, wielka, służyła za właściwe zwierciadło. Odpowiednio gruba, renesansowa rama, rzeźbiona w winne grona,

amorki dzwigające na barkach amfory, zwieńczała się u szczytu w postaci tłustego Bacchusa, w wieńcu roślinnym na głowie, przechylającego róg do ust(Drewno ramy było grubo pozłacane, pociemniałe ze starości.

Porucznik przyjrzał się zawilosciom roślinnego ornamentu tak samo gęstego i splątanego, jak żywy i naturalny na balkonie. Wydało mu się, że dostrzega dwie, cieniutkie, pionowe kreski w dolnej części ramy. Podłożył palec pod ramę i pociągnął ku sobie, Ku swojemu zdziwieniu wysunął miniaturową szufladkę umieszczoną dokładnie w pionie pod figurką Bacchusa.

Lustro nie pozostawiało wątpliwości co do zawodu, zamiłowań, słabości i gustów śpiewaka. Porucznik odkrył z pewnym zdziwieniem, że ma się ochotę w nim przeglądać. Zawsze sądziłem, że lustro służy do golenia i wiązania krawata - uśmiechnął się do swego odbicia.

Szufladka chodziła luźno, wysuwał ją i wsuwał machinalnie. Wyjął z niej jakiś druczek, rzucił na niego okiem. W tej chwili woda w łazience przestała szumieć. Równie machinalnie wsunął kartkę do kieszeni marynarki.

Wydało mu się, że jest odbita na powielaczu i musiał to być dobry powielacz. Litery wyszły jak spod prasy drukarskiej, czyste, dobrze widoczne, mimo że drobne i gęsto złożone, prawie bez prześwitów.

Zobaczył w lustrze Świrkę, zmierzającego w jego kierunku. Dzielnicowy śmiał się całą gębą, rażno kroczył, przyglądał ręką mokre włosy na głowie.

- No, lepiej mi - oświadczył.
- Może do czegoś dotrzemy - westchnął Zygmunt i odwrócił się od lustra. - Przejdźmy się do komisariatu - zdecydował. Świrko kiwnął głową. - Sprawdźcie tylko, czy nie ustał dopływ wody na balkon. Czyście przez przypadek nie zakręcili jakiegoś kranu. Kapitan Korda byłby niepokieszony, gdyby bluszcz usechł albo stracił kolor.

Usiedli naprzeciwko siebie po dwóch stronach służbowego biurka.

- Jeszcze raz - rzucił Zygmunt - kto widział fiata?
- Nikt - pospieszył Świrko.
- Ee tam, zaraz nikt! Powoli. Widziała go Norecka.
- Nikt nie potwierdza.
- Teraz zgoda. Nikt tego nie potwierdza, a więc mamy

jedynego świadka.

- Mogła to sobie wymyślić - stęknął grubas Świrko. W dusznym, zagraconym pokoju komisariatu zaczynało mu być natychmiast gorąco. - Ludzie przedziwne rzeczy wymyślają, żeby zważyć.

Dzielnicowy myślał mimo upału, ale porucznik znów pokręcił głową powątpiewająco.

- Gdyby nie bluzka, moglibyście mieć rację, istotnie. Dziewczyna jednak nie wymyśla na poczekaniu tureckiej, haftowanej bluzki, jeśli jej nie zauważyła naprawdę. Jeśli nie chce takiej mieć.

Teraz Świrko zapatrzył się na porucznika.

- Nie przekonywające? - zapytał Zygmunt.
- Nie wiem - stropił się Świrko. - Tak i nie. Ja lubię mieć fakty. Jakieś konkrety.

- A jeśli nie można mieć konkretów, sierzancie? Oczywiście, że najlepiej mieć w ręku dowód.

- Nie mamy nic do ustalania - zniercierpliwił się niedostrzegalnie dzielnicowy - człowiekowi znudziło się życie i basta. Ja znam swój rewir jak własną kieszeń. Swoich ludzi. Mnie uczyli, najpierw poznaj ludzi. Co, kto za jeden? Nawet jeżeli ten fiat przyjechał, musiał bardzo szybko odjechać.

- A może ta kobieta, ten ktoś, przestraszył się wypadku Gandera? - zaproponował porucznik.

- Możliwe - mruknął uparcie dzielnicowy - wszystko jest możliwe. Trzeba tylko wiedzieć, czy fiat na pewno był, czy nie. A tego nie wiemy.

Z pewnością nie wiemy - pomyślał Zygmunt. - Ja jestem przekonany, że „Bezik” mówiła prawdę. Prawie każdy kierowca odjedzie z miejsca takiego wypadku. Ludzie z samochodami nie lubią sensacji. Kto się czegoś dochrapał, nie chce się płatać w byle co.

- Wyczerpaliście wszystkie możliwe źródła informacji? - naciskał na dzielnicowego.

- Ja jestem odpowiedzialnym człowiekiem - stwierdził z pewną urazą Świrko. Tak dużo ich zresztą nie mamy. Jest szczyt sezonu urlopowego. Mało kto został w tym chlebowym piecu. Mieszkania pozamykane. A ja mam urlop dopiero we wrześniu - westchnął. - Na klatce zostały dwie... zaraz, trzy rodziny wszystkiego. W bezpośrednim sąsiedztwie Gandera wszyscy powyjeżdżali. Mógł sobie skakać! Nikt z sąsiedniego balkonu nie był mu w stanie przeszkodzić.

- Tam i tak nic nie widać - mruknął porucznik - bluszcz. - Ale zawsze, jak są ludzie, jest jakaś szansa. Coś się może zdarzyć, coś przeszkodzić. On sobie dobrze wybrał.

Dzielnicowy zrobił, co do niego należało - pomyślał porucznik. - Czepiam się człowieka.

Dopiero wieczorem, w domu, przypomniał sobie o kartce z powielacza. Nie wciągnął jej do książki dochodzeniowej, nie zapisał dnia ani godziny znalezienia. Po prostu o niej zapomniał.

Zrobię to jutro - myślał ściągając spodnie. W slipach położył się na wierzchu kołdry. Było dalej tak duszno i parno, że skóra nie tolerowała żadnego przykrycia. - Kapitan byłby ze mnie niezadowolony, psiakość. Składałem mu w południe informację i nie wspominałem o kartce.

Wstał z jękiem, zapalił lampkę na stoliczku, zaciągnął storę. Powietrze zgęstniało i miał ochotę z powrotem odsłonić okno, ale wówczas sąsiedzi siedzieliby u niego w pokoju, a nie

u siebie, zajęci własnymi kłopotami. Rozprostował kartkę, przysunął ją do światła.

„Oferty panów w wieku pięćdziesięciu lat” - odczytał z pewnym zdziwieniem, chociaż od dawna nie dziwił się niczemu. Niżej następowały szczegółowe propozycje. Odczytał dwie albo trzy. Były zbliżone do siebie. Cyfra oferty numer trzynastcie była otoczona kółeczkiem zrobionym czerwonym długopisem. Porucznik przeczytał jej treść.

„Blondyn, oczy błękitne, miłej powierzchowności, przyjaznego usposobienia, lat 52, wysoka renta, dobre warunki mieszkaniowe, wzrost metr osiemdziesiąt, waga osiemdziesiąt sześć kilogramów, poszukuje pani między 20 a 30 rokiem życia, wysokiej, zgrabnej, dobrej towarzyszkii, czulej, wrażliwej. Względy materialne nie odgrywają roli. Pożądane zainteresowania - muzyka, teatr, literatura, podróże.”

Dopiero w tej chwili zdumiał się na dobre. Złożył z namysłem kartkę z powielacza, wsunął ją do szuflady i zamknął biurko na klucz, jakby mu mogła stamtąd do rana uciec. Byłby wtedy wart zwolnienia ze służby.

Rano, w pracy, wziął od razu teczkę Andrzeja Gandera. Rozłożył ją przed sobą i zaczął szczegółowo studiować zgromadzony w niej materiał dochodzeniowy. Zainteresowało go orzeczenie lekarza. Z pośmiertnej diagnozy wynikało, że śpiewak był wyjątkowo zdrowy. Po pięćdziesiątce nie cierpiał na żadną chroniczną ani przewlekłą chorobę, a jego arterie znajdowały się w doskonałym stanie.

Mam - pomyślał porucznik - wzrost sto osiemdziesiąt centymetrów, waga osiemdziesiąt sześć kilogramów. Zgadza się jak w aptece. Jeśli jestem na tropie jakiegoś szczegółu z jego życia, jest to niezrozumiały epizod. Żart? Zakład? Zabawa? Ten człowiek nie wyglądał na żaden z takich dowcipów. On i jego mieszkanie świadczą o dobrym guście. Pozory często mylą. Ludzie chowają w czaszce zdumiewające rzeczy.

Patrzysz na kogoś i myślisz: powodzenie, forsa, żadnych kłopotów, dziewczyny same idą w ręce. W rzeczywistości czasem bywa całkiem odwrotnie.

Spojrzał na zegarek. O dziesiątej mieli naradę grupy. Dziś kapitan powinien mnie pochwalić. Dziś - ja będę miał coś do powiedzenia. I to w sprawie, w której, jestem pewny, nikt nie będzie miał n i c do powiedzenia.

Rozdział 8

Tak nieśmiało podeszła do stolika ocienionego palmą, że Gander się zdumiał i stał się natychmiast ostrożny. Czujny na każdy ruch i słowo.

- Czy wszystkie dziewczyny szukające szczęścia w „Kajusie” są takie nieśmiałe jak pani? - zapytał.

- Nie wiem - odparła po chwili milczenia - pewnie tak. To są te, które nie potrafią łatwo zawierać znajomości. Czy nie tak?

- A ja myślałem - odwrotnie. Wie pani? Ja myślałem, że to są ludzie, którzy wiedzą już wszystko, nie mają żadnych złudzeń i chcą się tylko ratować przed najgorszym - przed samotnością.

- To pan, prawda? - odpowiedziała śmiejąc - tacy jak pan - poprawiła się. - Widocznie tam przychodzą różni. A ja mam prawie wszystkie pana płyty! - zawołała spontanicznie.

- Moje płyty? - zdumiał się Gander bezgranicznie. - Która młoda dziewczyna albo chłopak słucha dzisiaj śpiewaka operowego? Nawet znakomitego.

- Są tacy, co słuchają - oświadczyła krótko - pan miał niebywały głos. I ten głos został - dodała spokojnie.

- Pani żartuje - roześmiał się Gander - ze mnie nic nie zostało! Najlepiej powiedzić to sobie od razu. Dokonać przykrego zabiegu i będzie po bólu.

Spojrzała na niego uważnie.

- To odwaga tak powiedzieć o sobie. W życiu nie obrażałam siebie, że będę siedziała z Andrzejem Ganderem w kawiarni. Z moimi płytami! Pan jest przeziębiony?

- Nie - odparł spokojnie Gander. - Gardło, co? - Zmrużył swoje piękne, ciągle wielkie oczy, chociaż już teraz nieco zamglone, mniej żywe i czyste - alkohol. Piję, proszę pani. Za dużo. - Mówił i nie spuszczał z niej wzroku. Obserwował ją jak biolog preparujący skórę żaby pod mikroskopem.

Zauważył, że wcale nie zdawała sobie z tego sprawy, a jeśli tak, nic ją to nie obchodziło, nie gniewało ani nie peszyło.

- Mój ojciec też pił - powiedziała otwarcie. - I co na to poradzić? Nie lubiłam awantur i dalej nie lubię: Ale czy człowiek sam wybiera sobie sposób, w jaki ma żyć? To można zrobić dopiero wtedy, gdy się pracuje, zarabia. A przedtem?

Żył prawie zawsze w kłamstwie, dlatego niczym nie można było go zjednać bardziej, jak szczerością, uczciwością. Nie wiedząc o tym trafiła w sam obolały nerw Gandera. Spojrzał na nią z prawdziwym zainteresowaniem. Miała na sobie ładną bluzeczkę i zgrabną spódniczkę. Nie malowała się, jak wymaga tego młodzieżowa moda. Pomyślał, że jej twarz, oczy, usta, gdyby je podkreślić, nabrałyby nieprzeciętnego seksu, i zastanowił się, czy o tym nie wie, czy nie zależy jej bardzo na wyglądzie. Była smukła, delikatnie wiotka i umiała się zachować, chociaż wiedział, że to akurat chce ukryć i przedstawić mu się byle jaka. Jeśli nie była bardzo ładna, to dlatego, że nie chciała. Zastanowił się, czy tak dalece chce być zaakceptowana dla samej siebie, czy to jest niedbałość.

Jeśli jesteś rzeczywiście szczerą dziewczyna i gdybyś zechciała tylko mnie, nie masz pojęcia, czego bym dla ciebie nie zrobił, obiecał jej w duchu.

- Czy pan też chce kawy?
- Ocknął się z pijanego zwidu na trzeźwo. Zadawała mu pytanie chyba drugi raz.
- Może być. Kawa.
- Pan o czymś myślał? O czymś przyjemnym... - dodała cieplej, śmieiej.
- Roześmiał się, sprawiło mu przyjemność, że zgadła.
- Tak, myślałem o czymś bardzo przyjemnym. Zgoda.
- Pan jest nadal taki, jak na fotkach - stwierdziła obiektywnie.
- Na jakich fotosach? - parsknął śmiechem. - Sprzed ćwierć wieku? - zadrwił sobie okrutnie. - Pani jest naprawdę czarująca.
- Na obwolutach płyt są prawie zawsze zdjęcia wykonawców - powiedziała chłodno, z przyganą w głosie - pan... pan chyba popadł w kompleks utraty własnej wartości... - urwała. Z kolei ona przestraszyła się, że go zrazi, źle usposobi do siebie, i dobrze odgadła.
- Co pani może o tym wiedzieć? - powiedział nagle niechętnie.
- Może bardzo dużo. Pochodzę z małego miasteczka. Ze Skarżyska. Nie ma pan pojęcia, czego nie musiałam robić, żeby zostać ekspedientką w Modzie Polskiej. W naszym fachu to kariera, wie pan?
- Wiem.
- Myślę, że udało mi się to z powodu figury. Postawili mnie dzięki temu w dziale bieliźniarskim z importu. Sprzedawałam potem kosmetyki, a teraz - bluzeczki.
- Tak - uśmiechnął się Gander - ten szczegół swojej osoby ma pani rzeczywiście piękny. I bluzka jest też - udana.
- Bonzowie od mody mówią, że mam piersi do reklam na tle morza.
- Gander zaśmiał się oczami. Mówiła swobodnie o rzeczach,

o których wspomniałaby rzadko która dziewczyna. Zawód - skonstatował. Ociera się ciągle o modelki, pokazy mody, rozmawia z facetami od tego biznesu.

- Chciałaby pani robić coś innego? - zapytał. – Gdzie indziej pracować?

Roześmiała się.

- Ale skąd! Mnie to się okropnie kiedyś spodobało. Poleciałam do domu, godzinę stałam w lustrze i dziwiłam się, co we mnie zobaczyli. Jaka ja byłam naiwna. A teraz siedzę z panem w kawiarni. Jak wrócę do domu, puszczę magneto, już będę wiedziała, jaki pan jest prawdziwy, i znów będę z panem siedziała. Nie... będę leżała na tapczanie. Mam dobre magneto. Pana arie przebrane na taśmy.

Dziwne - pomyślał - wcale nie jestem na nią wściekły, nie chcę odsunąć krzesła, odejść od stolika, zostawić jej samej. Pierwszy raz od lat nie ogarnia mnie nienawiść za to, że ktoś chce posłuchać człowieka, który umarł prawie tak samo, jak Szalapin i Beniamino Gigli.

- Co pani chce dziś robić? - zapytał. - Dalej? Z tak pięknie rozpoczętym popołudniem?

- Nic - odrzekła z namysłem - pożegnam się z panem. A w domu pomyślę. O wszystkim. O tym, o czym mówiliśmy, i jaki pan jest... o tym, o czym pan milczał.

- Proszę przestać - powiedział Andrzej Gander sucho - to się może źle dla pani skończyć. Pokocham panią i koniec z naszą uczciwą umową, z solidnym kontraktem.

- Pan wie, że ja chcę wyjść za mąż - powiedziała dziewczyna i spojrzała mu wprost w oczy.

- „Kajus” daje przeważnie takie ogłoszenia - skonstatował rzeczowo.

- To dobrze. Myślałam, że mimo to mężczyźni liczą na przygodę. A przygód, wie pan, może być co dzień dziesięć. Niedobrze się od tego robi. Każdy leci na łatwiznę. Czasami wydaje mi się, że wcale nie myślimy, co będzie z nami

wszystkimi dalej. To znaczy, kiedy się człowiek tak zgra... do nitki...

- Tak? - mruknął Gander. - No cóż, zgoda. Tak. Ma pani rację. Kiedy pani do mnie zadzwoni?

Podniosła głowę. Przez moment dziwiła się, ale trwało to bardzo krótko.

- Tak pan woli? Ja też wolę. Prędko zadzwonię. Pan jest taki, jak myślałam. Z głosu, z tego, co pan śpiewał i jak. Z fotek. Pan jest... fantastyczny.

Został sam i siedział bez ruchu uszczęśliwiony, stary osioł, bo dziewczyna powiedziała mu jeszcze raz, że jest fantastyczny. Że jest nadal sobą i może być kochany, jak dawniej, chociaż sam siebie sponiewierał i w sobie zwątpił.

Zapłacił za dwie kawy i krokiem lwa, zwycięskiego kochanka, wyszedł w Aleje, jakby już zdobył tę dziewczynę. Sprawdzał się dla niej i ona dla niego. Jakby zaczynała się znów miłość, jeszcze raz miłość, największy cud zycia.

Rozdział 9

Alek przysiadł się do Kordy na kanapkę, oparł łokieć o miękką poręcz. W tej pozie, w swoim geście, był tylko aktorem. Nikt by nie odczytał w nim życiorysu, poglądów ani charakteru twardego i obojętnego, jak kamień. Obok Kordy siedział rozkapryszony, uwodzicielski mężczyzna, który chciał się podobać także mężczyźnie, wszystkim, całemu światu.

- Dali ci sprawę Gandera, co? - zapytał intymnym tonem - a ty nie możesz prowadzić typowego śledztwa. - Zaśmiał się znów samym gardłem. - Poszukałeś starego Alka.

- To moja prywatna sprawa, starzy przyjaciele - stwierdził oschle Korda.

- Ach ty, hipokryto. No więc, gadaj, czego chcesz?
- Nie ma w ogóle „sprawy Gandera” - powiedział Korda niemal z urazą. - Gdyby była, prowadzilibyśmy śledztwo, ale tutaj... po prostu człowiek, kiedyś znakomity artysta, odebrał sobie życie. Wszystko. Jak w takich warunkach prowadzić dochodzenie? Naturalnie ja je prowadzę. Jestem przecież oficerem kryminalnym. Wiem tylko, Alek, że ty mi powiesz więcej niż całe dochodzenie razem wzięte. I to jest, to będzie sprawa między nami dwoma. Nie lubię nadal, gdy ktoś próbuje nas lekceważyć.

Alek opuścił ręce między kolana jakimś bezradnym gestem.

- Zawsze byłeś taki. Zdumiewające, że nadal jesteś. To pomaga żyć, Heniek. Bo czasem myślę... Gander był znakomitym artystą, muzykiem, śpiewakiem. Niebywale wrażliwy, obdarzony głosem o pięknej barwie, prawie ustawionym z natury. Śpiewał zawsze bez żadnego wysiłku, tak, jak człowiek śpiewa dla siebie i kiedy go nikt nie słyszy. Z niego głos płynął, wylewał się. Andrzej był przepełniony muzyką i to budziło wprost niesamowitą zawiść wśród zawodowców. My się musimy szkolić, ćwiczyć, cholera, latami, godzinami, a on sobie śpiewał. Miał absolutny słuch, ja się muszę uczyć roli. Zmarnowali go - rzucił nagle z gniewem.

- Przepraszam cię, kto? - spytał oschle Korda.

Alek odwrócił twarz do przyjaciela, klepnął go po ramieniu.

- Nie złość się, stary. Zmarnowaliśmy go, zgoda?
- Były takie czasy - stwierdził Korda.
- A on mógł nie występować, co? Nie przyjmować waszych propozycji, tak?
- A twoich nie, Alek?
- W porządku. Dobrze. Moich także.
- Nie. Nie mógł. Ja też nie mogłem i ty. Mieliśmy po prostu obaj szczęście. Żyję, mimo że polowali na mnie po

wojnie jak na cenne albo niebezpieczne zwierzę. Ty zachowałeś głos, mimo że szafowałeś nim jak on. Miałeś lepsze gardło, mocniejsze struny głosowe. Nie trzeba szukać win tam, gdzie całe życie jest winne.

- Ja sobie zahartowałem gardło, śpiewając po podwórkach w czasie okupacji - zaśmiał się ironicznie Alek. - Potem zaaplikowali mi inhalacje wyziewami z kanałów. Nic mi nie mogło już zaszkodzić. Andrzej Gander przyjechał z Włoch, z Florencji... stał na deskach la Scali. Siadywał nad Śródziemnym i wdychał tamte sole. Słynne bel canto, Heniek, to także klimat, nie tylko szkoła śpiewu. Ale skoro on taki był, trzeba nam go było oszczędzać.

- Kto miał warunki tak myśleć w czterdziestym piątym?

- A szkoda - rzucił w zamyśleniu Alek. - O takich rzeczach myśli się dalej od Europy.

- Związek Radziecki to wielki kraj. Wszystko przetrzyma. Może sobie na wiele pozwolić. Nawet na dbałość o gardła swoich śpiewaków nazajutrz po morderczej wojnie.

- Na oszczędzanie talentu, który może coś zrobić dla kraju, powinien być czas zawsze i wszędzie.

Kapitan oparł głowę na rękę. Znów poczuł się zmęczony. Zdarzało mu się to coraz częściej. A jednak starzeję się - pomyślał.

- Masz rację, tak. No, jesteś zadowolony? - zapytał. - Ale zrobiłeś się niecierpliwy, Alek, gorzki.

- Zawsze byłem taki - rzucił Alek hardo, wyniośle.

Może i był - pomyślał Korda - w jaki sposób inaczej wyniosłby głowę z zalanej wermachtem Polski. Wtedy siły do walki brały się tylko z nienawiści. Żyć w kanałach i liczyć dni, miesiące, lata. Czas toczący się płynącym ściekiem. Nie do wiary. Czy można to dziś jeszcze komuś wytłumaczyć? Nie można.

- Ocknął się z własnych myśli, których Alek nie przerywał.
- Powiedzmy - mruknął - że Gander był miękki. Zbyt łagodny na nasze czasy. Twoje i moje. Na to się zgodzisz?
 - Tak - odparł Alek pochmurnie - ale to nie znaczy, że godzę się, aby człowiek dobry wypadł z tej gry - z życia.
 - Czy on dużo przebywał w dawnym środowisku? Między wami?
 - Wcale. Widywałem go czasem w Filharmonii. Zdzisz się, ale nie bywał w operze, w teatrach muzycznych.
 - Kiedy on się rozwiódł?
 - W rok po wyjściu z zawodu. Hanka Worobiov ma wspaniałą sopran koloraturowy. Nic już nie mieli sobie do powiedzenia. W naszym fachu tak, niestety, jest. Tu nie ma sentymentów. Ona szła do sławy, do sukcesów. Śpiewa akurat w Paryżu, ma tam kontrakt z Operą. Nie jestem pewny, czy wie o śmierci Andrzeja. Kiedy pogrzeb?
 - Niedługo - zawahał się Korda. - Damy nekrologi w prasie. To kwestia dwóch, trzech dni. Nie wiesz, z kim on był ostatnio związany? Kto to był? Aktorka czy jakaś dziewczyna?
 - Nie wiem. Po rozwodzie z Hanką unikał śpiewaczek, aktorek, jak zarazy. Tak samo zresztą - teatru.
 - Twoim zdaniem to nie jest dziwne, nietypowe?
 - Jest. Tak. Na pewno. Po prostu inaczej reagował niż większość zmarnowanych artystów. On był wielkim artystą. Nieco inaczej przeżywał odejście. To była dla niego całkowita eliminacja z życia.
 - Czy on miał znaczące romanse w życiu oprócz legalnych związków?
- Alek zaśmiał się serdecznie, lekko.
- To był mężczyzna, Heniek, dla którego poza sceną operową i kobietami nic nie egzystowało. Przez jego mieszkanie i garderobę przeszło mnóstwo dziewczyn. Trzymał się Hanki, bo tak nakazuje rozsądek i wymagania zawodu. Ale Andrzej

kochał dziewczynę, z którą łączyła go nawet dwudniowa przygoda. Miał takie usposobienie, przyjazne. Lubił kobiety. Żadna dziewczyna z naszego środowiska nigdy nie powiedziała na niego złego słowa, choćby ją raz wziął do łóżka, a to coś znaczy, Heniek. On był jak motyl - kolorowy, delikatny, krótko żyjący. Trzeba z nim było ostrożnie postępować. Nie było w jego życiu dziewczyny ani kobiety, która powiedziałaby mu - nie.

- To ma swoje określone konsekwencje - zauważył Korda.

- Tak, ma. Po pewnym czasie nic nie zostaje oprócz lekceważenia i pogardy. To zupełnie obiektywny proces.

- Mógłbyś założyć, że przegrał wszystko? Życie zawodowe i osobiste?

- Mógłbym, pewnie. Ale to nie znaczy, że tak było w istocie. Unikałem z nim takich rozmów. Może dlatego, że mnie się powiodło w życiu. Żenię się, zapomniałem ci powiedzieć.

- Powodzenia, Alek - rzekł Korda z dystrakcją. - Z kim?

- Z Krysią Bajno.

- Ostatnia rola w „Korsarzach”? Nagroda państwowa. Gratuluję. W naszym wieku!

- A co? - powiedział Alek zaczepnie, z dumą.

Korda uśmiechnął się do siebie. W charakterze wszystkich narodów o gorącej krwi leży dziecinna potrzeba pochwał, podziwu. Alek był klasycznym, wprost klinicznym tego przykładem.

- A może ktoś od was poza tobą był u niego? Może on kogoś wyróżnił?

- Może. Nic mi o tym nie wiadomo, ale nie muszę przecież wiedzieć wszystkiego. Chociaż... powinienem. Dowiem się. Andrzej przeszedł różne koleje życia. Także okresy pijaństwa.

- Wychodził z nich czy na koniec wódka wzięła jego?

- Wychodził. Dziwne, ale wychodził. Nie był po prostu typem alkoholika. Potrafił się izolować całkiem od ludzi, od kobiet, żyć w odosobnieniu, a mimo to nigdy do końca nie dał się nałogowi. W pewnym okresie przechodził też kłopoty ze sobą, zbliżał się do pięćdziesiątki. Sam wiesz, co to jest. Ale ostatnie dwa, trzy lata miał chyba znów bardzo dobre. Dostał komandorię, proponowali mu stanowisko w konserwatorium. Chcieli, żeby się zajął młodym narybkiem operowym, klasami wokalnymi.

- Odmówił. Tak?

- Tak. Skąd wiesz?

- Nie wiem. Wydawało mi się to prawidłowe. Przesiedziałem kilka godzin w jego mieszkaniu.

- Podziwiałeś system nawadniający roślinność w loggi, co? - Alek zaśmiał się. - Nie ty pierwszy. Tak, Andrzej po prostu odszedł od wszystkich i wszystkiego. Jest to jedyna realna konkluzja z naszej pogawędki. Dopiero przez jakieś ostatnie dwa lata wydawał się szczęśliwszy. Nie zastanawiałem się dotąd, co to było. Pogodzenie się ze sobą, z tym, co jest, czy zupełnie coś odmiennego.

- Może wobec tego zastanowimy się nad tym we dwóch - zaproponował Korda.

- Tak. Dwa lata - powtórzył Alek w zamyśleniu. - Znów stał się zdumiewająco młody, odzyskał sprężystość ruchów. Ale to jeszcze nic nie znaczy. To się zdarza - u blondynów. Śmiał się jak dawniej, przyjaźnie. To było coś takiego, jakby znów uwierzył w siebie, w jakąś obiektywną wartość. W życiu chyba zawsze chodzi o miłość albo przyjaźń, jakiś obiektywny sprawdzian - własną pracę, jakieś osiągnięcie, nawet potwierdzenie istnienia zasad moralnych, ich niezmiennność, trwałość. Sam czegoś takiego zawsze potrzebuję, więc sędzę po sobie. Bez tego nie sposób żyć. Andrzej tak właśnie ostatnio wyglądał, jakby znalazł oparcie, jakiś stały punkt na ziemi. Każdy z nas ma własne o nim wyobrażenie. Inaczej stopniuje wartości.

Ma rację - stwierdził Korda w duchu. - Ja miałem zawsze Zośkę, synów. Kiedyś to nie było najważniejsze. Dziś - tak. Dziś zdaję sobie z tego sprawę, że jedno zależało od drugiego. Tłukłem się po kraju nocami i dniami, zawsze byłem w robocie, rzadko w domu. Mimo to rodzina trzymała się kupy, chłopcy nieźle się uczyli. Uważałem to za normalne. Byłem zarozumiały. To jest sukces dwojga ludzi.

- Czy ja ci powiedziałem coś istotnego? - zaciekawiał się Alek.

- Tak. Oczywiście. Już wiem, kim był Gander. To się nawet pokrywa z moimi fragmentarycznymi obserwacjami.

- Nie było ciekawszego, wspanialszego mężczyzny w Warszawie - westchnął Alek z odcieniem żalu i zazdrości w głosie - opowiadały sobie o nim dziewczyny i kobiety. Nagle, jakiegoś dnia, wszystko runęło. Przyszła katastrofa. Pewnie za dużo było tego dobrego, Heniek. Niewątpliwie coś, ktoś go z tego wyratował. Gdybym wiedział co albo kto, ty dowiedziałbyś się reszty. I chyba słusznie nie chcesz odłożyć Andrzeja do archiwum. Ad acta. Mnie się w głowie nie chciała pomieścić jego śmierć i nie chce. To nie był w ostatniej fazie życia człowiek nieszczęśliwy, zgoniony, chory. Ja z nim kiedyś pracowałem i rywalizowałem w operze. Jestem też aktorem, nie mylę się. Znam się na ludzkich stanach wewnętrznych, nastrojach. My to musimy umieć. Zrozumieć, co w kim siedzi.

Korda kiwnął głową.

- Zgoda. I co z tego. Nie mam żadnych dowodów. Takie są klęski mojego zawodu.

- Wiesz co? - mruknął Alek - mnie wojna nauczyła, później różne inne ciężkie okoliczności, było ich dosyć - kiedyś dochodzi się do prawdy... zawsze się dochodzi. Choćby to miało przyjść na końcu życia. Choćby miał to zrobić ktoś inny za ciebie. Ilu nieżyjącym już ludziom udało mi się po wojnie przywrócić twarz, gdy pracowałem w różnych komisjach badających zbrodnie wojenne. To była społeczna robota, ale czas

dziesięciokrotnie opłacony. Ile dzieci przez nas odnalazło matki i ojców, chociaż są sierotami. To nie jest nieważne, Heniek, wiedzieć, skąd człowiek się wziął. Skąd przychodzi. Ustalić swoje poczucie tożsamości, kultury, miejsca na ziemi. Sprawiedliwość jest największym słowem, jakie znam. Najważniejszym w ludzkiej cywilizacji, chociaż przedstawiamy ją z zawiązanymi oczami. Bez niej jednak kłamstwem byłoby twierdzenie, że świat można zmienić. Nie umielibyśmy po prostu tego zrobić. Zagrać ci coś? - otworzył fortepian - co?

- Zagraj mi mazurka Szopena.

Na dworze zrobiło się szaro. Alek zapalił stojący na fortepianie siedmioramienny świecznik. Profil grającego mężczyzny był tak samo piękny - chociaż rysy zgrubiały - jak kiedyś chłopca. Gdzieś tu, na Hożej, może na Wilczej, trzydzieści dwa lata temu wstecz, ten młodzieniec otworzył drugiemu warszawskiemu chłopcu drzwi. Kapitanowi wydało się, że od tego czasu nic się nie zmieniło. I na dobrą sprawę mógł siebie tamtego odnaleźć, niezmienionego.

Szkoda - myślał - że tych chwil mamy w życiu tak mało. Rzadko.

Rozdział 10

- Lidka? - naciągała Jo przyjaciółkę, kiedy przedstawił mi swego chłopaka, co?

Lidka z zawziętością ścierała dawno starte kurze i hermetycznie milczała.

Jowanka leżała na tapczanie, puszczała kółka z carmena i judziła drugą dziewczynę z ogromną satysfakcją.

- Boisz się, że ja ci go odbiję, co? Gdzieś ty go poznała, do licha. Milczysz jak ślimak, można by cię wrzucać do wrzątku. Lidka - zagroziła Jowanka - dawno było ustalone, że wszystko sobie mówimy, nie?

Lidka cisnęła z pasją ściereczkę do kurzu.

- Przestań, Jo, na litość boską. Odczep się raz ode mnie. - Rzuciła się na fotel zakupiony przez Jo albo do którego nabycia została przez nią zmuszona. - Czy mało ludzi przewija się dzień w dzień przez Modę? Czy mało mam okazji do zawierania znajomości? Myślałby kto, że jestem garbata, zezowata, mam krzywe nogi...

- Przeciwnie, jesteś klasa dziewczyna. Gdybyś jeszcze o siebie zadbała... Malowała na przykład oczy. Nie masz pojęcia, jak ci do twarzy w tym fotelu - judziła dalej Jowanka - nie wyobrażasz sobie, jaki fajny kącik zrobił się przy oknie, obok zasłon.

Lidka miała pojęcie, zauważyła od razu zmianę w pokoju. Jowanka jeszcze bardziej ją przez to irytowała. Gadanie Jo. Jakby sama nie miała oczu ani gustu.

- Zapominasz, że pracuję w Modzie. U nas nie daje się ludziom byle czego. Wystawy robią najlepsi dekoratorzy. Same musimy dbać o stoiska. Ja tylko nie mam czasu.

- Na siebie? - zadrwiła Jowanka - Nie pleć, Lidka. Prędko. No więc, liczę do trzech. Skąd masz tego chłopaka? Nie chcesz mówić, dobrze. Obrażam się, wychodzę i nie wracam. - Demonstracyjnie spuściła nogi na podłogę i zaczęła macać stopami w poszukiwaniu pantofli.

- To nie żaden chłopak - mruknęła Lidka prędko.

- A kto? Duch święty?

- Nie. To jest mężczyzna. Poważny. Ja chyba wyjdę za niego za mąż.

- Stary?

- Jo! - wybuchnęła Lidka - czy to jest przesłuchanie? Ty się zapisz do milicji. Stary, nie stary, nie lubię gówniarzy. Zaproszę cię na ślub, to zobaczysz.

- I nie wcześniej? - jęknęła komicznie Jowanka.

- Nie!

- Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego. Ja taka jestem, no! Może jeszcze nic z tego nie będzie.

- To nie przeszkadza, żebyś mi go pokazała.

- Przeszkadza.

- Lidka, ja bym ci doradziła. Zaraz zobaczę, co to za facet.

Lidka roześmiała się lekko, wesoło.

- O nie, Jo! Jesteś znakomita do wybierania mebli, świetna do szmatek, kolorów, kosmetyków... materiałów, ale o mężach nie masz pojęcia. Nie, dziękuję, Jo. Nigdy w życiu nie wyszłabym za mąż za mężczyznę, który odpowiadałby tobie.

Lidka mówiła beztrosko, nie patrząc na przyjaciółkę. Jowanka tymczasem znów usiadła na tapczanie, odrzuciła papierosa i wpatrzyła się w uśmiechniętą twarz Lidki.

- Uważasz, że Sławek jest mężczyzną... jest mężem...

Lidka przerwała swoje zajęcie, odwróciła się do Jowanki i przestraszyła się. Gdyby mogła, uciąłaby sobie głupi jęzor.

- Ależ, Jo - odezwała się mniej śmiało, a jej głos złagodniał jak zawsze, gdy wymacała przypadkiem miękkie miejsce w Jowance. - Sławek jest wyjątkowym chłopcem. On tylko, Jo, proszę cię, błagam cię, nie gniewaj się, nie jest mężem dla ciebie. Nie umiałaś wybrać sobie męża. Twój mąż powinien być zawsze z tobą, Jo. Taka dziewczyna, jak ty, nie może być sama.

- Masz rację - jęknęła prawie Jo. Z powrotem ułożyła się na tapczanie, ale teraz odwrócona twarzą do ściany, jakby Lidki nie było wcale w pokoju. - Tak, Sławek nic o mnie nie wie - powiedziała do ściany. Wstała, wyciągnęła z torby paczkę. - Tu jest twoja bluzka i spódniczka, Lidka, dziękuję. Spodobała się ludziom na tych głupich imieninach. Co robiłaś w piątek? - zapytała nagle.

Lidka drgnęła i podniosła zdziwione oczy na Jo.

- Ja? W który piątek?

- Jak to w który! W ten. W ostatni.

- Już nie pamiętam. Siedziałam w Modzie.
- To nie był twój wolny dzień?
- Nie - odrzekła Lidka spokojnie.
- Zdawało mi się - rzuciła Jowanka niedbale - że miałas wolny piątek w tym tygodniu. - Jowanka westchnęła. - Cudownie mieć jeden wolny dzień. Ja mam wszystkie dni wolne, na okrągło.

- Był list? - zapytała Lidka nieśmiało.
- Nie.
- Nie martw się. Nie mogło się nic takiego stać. W dzisiejszych czasach statki nie toną.

- Czasami się je tylko zatapia - mruknęła Jo.

Lidka nic nie odpowiedziała.

- Poszłabyś do kina, Jo? - zaproponowała.

- A twój chłopak? Co robi dziś twój chłopak? Och, nie bądź taka dobra dla mnie! Gdybym zechciała, miałabym co zrobić z tym wieczorem i z innymi. Ze wszystkimi do samej usranej śmierci.

- Nie bądź ordynarna, Jo. Nie lubię. Sławek wróci i co będzie?

- Jasne, że wróci. Zawsze wraca. Kiedyś wraca! - wybuchnęła Jowanka. - Do śmierci będę sobie mówiła, że niedługo wróci! Rany boskie, jak ja się z tym męczę!

Chciałaś mnie uczyć sposobu spędzania życia - pomyślała Lidka. - Nie, Jo, tego to ty nie potrafisz, chociaż co innego umiesz wspaniale. Dużo lepiej ode mnie. Leciłaś zawsze za chłopakiem, który ci się podobał. O nic dalej ani więcej nie pytałaś. Jak ślepa albo szalona. To nawet musi być coś, tak przeżywać miłość czy chociaż tylko przygodę. Ale tak się niczego rozsądnego nie buduje, zawsze potem coś jest złe, jak ze Sławkiem. Sławek nie powinien się w ogóle żenić, a już na pewno nie z tobą, Jowanka.

Rozwiązywała sumiennie sznurek na paczce, wolała nie patrzeć na Jo, dopóki gorycz nie opadnie w przyjaciółce.

Wiedziała, że Jo się zaraz uspokoi. Jo była twarda i rzadko się rozklejała.

- Naprawdę już ci niepotrzebna bluzka, Jo? Na pewno? Nie potrzebuję jej wkładać dziś ani jutro.

- Nie - uśmiechnęła się smutno Jo - już mi niepotrzebna. Dziękuję. No, ubieraj się. Na co czekasz?

- Jak to na co? - zdziwiła się Lidka.

- Idziemy przecież do kina.

To była cała Jowanka. Kapryśna, zmienna w nastrojach. Lidka przywykła do nich od dziecka. Inne dziewczyny nie chciały.

Dlaczego? - myślała Lidka, nakładając pantofle. - Każdy człowiek jest jakiś, ma swoje wady, czasem gorsze od Jo. Co z tego, że Jo jest zmienna. Znam ją od zawsze i tylko to się liczy. Ona się o mnie troszczy. Myśli o moim domu, o wygładzie. Czy ktoś inny to zrobił albo robi?

Rozdziału

- Co macie nowego do powiedzenia? Proszę. Może ty, Zygmunt, pierwszy.

Stary dobrze trafił - pomyślał porucznik.

Korda spojrzął na zegarek.

- Mamy trzydzieści minut. Każdy z nas dostaje pięć minut na wypowiedź, plus moje podsumowanie.

- Piła - mruknął obok Zygmunta wywiadowca Kolanowski.

Porucznik podał kapitanowi przez stół tekst odbity na powielaczu.

- Uważam, że trzeba to rozpracować. Moja wypowiedź trwała trzy sekundy.

Korda rzucił okiem na kartkę. Na jego twarzy nic się nie odbiło.

- Dlaczego tak sądzisz? - zwrócił się do Zygmunta.
- Opis mężczyzny z oferty numer trzynaście przypomina zewnętrzną i chyba wewnętrzną sylwetkę Gandera. Sprawdziłem na przykład identyczność wagi i wzrostu.

- Mówiłeś kolejne osiem sekund - pozwolił sobie na złośliwość kapitan.

Przy stole podniósł się szmer zainteresowania. Kartka z powielacza przechodziła obiegiem z rąk do rąk.

- Czy ktoś ma jeszcze coś ciekawego? - spytał kapitan, patrząc po swoich ludziach. - Nie. Tak sądziłem. Przystąpmy zatem do działania. Podsumowanie zostawimy na kolejną naradę. Dziś nie byłoby czego sumować. Kolankowski?

- Tak. Słucham.

- Wybierzcie się na Marszałkowską do „Kajusa”. Oferta pochodzi stamtąd.

- Jasne. Zna się ten papier, styl ogłoszeń, druk.

- Dowiedzcie się, Kolankowski, kto składał tę ofertę. Kiedy. Czy nadeszła korespondencja pod ten numer. Jaka? Od kogo? Zygmunt?

- Jestem.

- Jak będziesz to wszystko wiedział, pomyślimy, co dalej. Na razie szkoda czasu. Za mało danych. Dziękuję, na dziś skończone.

Korda szurnął krzesłem. Opuścił pokój. Współpracownicy zbierali się wolniej, z ulgą, z odprężeniem.

- Uratowałeś nam dzisiaj życie - odezwał się do porucznika ktoś od stołu.

- Czysty przypadek - uśmiechnął się Zygmunt - spodobało mi się lustro Gandera. A raczej - rama. Tam tkwiła kartka. W filuternej szufladce, stosowniejszej na spinki do koszuli albo jakieś bawidełko. Być może to dobre miejsce na taką ofertę. Sekretną. Pojęcia nie mam. Nie znam się na tym. Jestem milicjantem. Nie pograj sprawy, Kolankowski. Tędy możemy coś zwojować.

- Dziś się narodziłem? Jeżeli Gander dawał tę ofertę, będzie pierwszorzędnym kłosem.
- Późno. Do roboty, chłopaki - stwierdził Zygmunt.
Rozprysnęli się na boki, jakby ich Korda pogonił.
- On chyba poprowadzi naszą grupę po Kordzie, co? - zapytał Kolankowski, gdy porucznik zniknął w korytarzu.
Ktoś wzruszył ramionami. Kolankowski nie był dyplomatą.
Kapitan poznał kroki Zygmunta na korytarzu. Otworzył swoje drzwi i skinął przywołująco głową.
- Szczegółowo przepatrywałem mieszkanie Gandera - zauważył, patrząc bystro na zastępcę.
- Tak. Komu przychodzi do głowy szufladka w ramie lustra? Ta rama ma bardzo gęsty, zawiliły ornament.
- Bluszcz! - zawołał Korda.
- Aha, roślinny. Sam bym niczego nie zauważył, gdyby Świrko nie roztopiał się jak tłuszcz na patelni i nie poszedł pod prysznic.
- Świrko? Nowy? Kto to?
- Nowy dzielnicowy na osiedlu. Przepytywał ludzi z okolicy. Młody chłopak.
- Mądry?
- Pewny siebie. Jeszcze nie widziałem, żeby komuś to bokiem nie wyszło. Ale każdy musi zjeść chociaż jedną żabę, nie? Lubię nawet na to patrzeć.
- Wyniuchał coś?
- Nie ma gdzie niuchać.
- Jutro będzie w prasie nekrolog. Przyjrzymy się reakcji środowiska.
- Sądzicie, że jeszcze nie wiedzą?
- Nie wszyscy. Urlopy. Chciałbym, żeby nasi ludzie byli na pogrzebie, Zygmunt.
- Będą.
- Może ja się też wybiorę. Wiele razy go słyszałem. Jego rozgłos przypadł na moją młodość. Ciekawe, kto będzie o nim

pamiętał. Nie zatrzymuję cię. Masz robotę.

- Ba, gdyby tylko Gander. Wsadziłeś mi na głowę... - Głos porucznika odchodził. Korda już go nie słyszał. Zygmunt od razu zauważył, że kapitan od kilku sekund nie wie, o czym się mówi. Zdarzało się to wówczas, gdy coś nowego wpadło mu do głowy. Korda obrócił obrączkę na palcu. Porucznik możliwie cicho zamknął drzwi. Korda wykręcał numer telefonu.

- Opera? - zapytał. - Czy Alek Baumann prowadzi próbę?

- Jest u siebie. Łączę - powiedział kobiecy głos w centralce.

- Alek? Korda.

- Aha. Dzień dobry, stary. Niewiele informacji, psiakość. Od nas mało kto widywał się ostatnio z Andrzejem. Raz jedna z solistek widziała go na ulicy, ale w samochodzie, przelotnie. Nie było warunków na pogaduszkę.

- Z kim go widziała? - spytał szybko Korda.

- Z kobietą. Przycisnę Anetkę, cierpliwości. Nie mogę robić szumu. Nie chcę. Często człowiek wsiada do wozu z byle kim, bo mu się spieszy albo bolą go nogi, a ja będę z tego zaraz robił historię. Niedługo nadarzy mi się okazja, pogadam.

- Jaki to był wóz? Mówiła ci?

- Tak, polski fiat.

- Nie wiesz, jaki kolor?

- Owszem... wiem, pomarańczowy.

- Bahama yellow - roześmiał się Korda.

- Tak.

- Dziękuję, Alek. Gdybyś się czegoś istotnego dowiedział, zadzwoń.

- Bez obawy. Ściskam cię, Heniek.

Pomarańczowy fiat egzystuje - myślał Korda. - Właścicielka psa widziała ten wóz. Nie wymyśliła go, żeby stworzyć sobie pretekst do odwiedzania komisariatów. Trzeba znaleźć

posiadaczkę wozu. Ta kobieta szła do mieszkania Gandera. Weszła do niego? Psiakrew. No cóż, zabawimy się w identyfikację kobiet ze zdjęć, znalezionych w mieszkaniu Gandera. Kupa roboty. Może któraś z nich jeździ pomarańczowym fiatem? Mąż, tata albo braciszek. Setki możliwych kombinacji.

Wywiadowca Kolankowski pytał, czy może wejść do Kordy. Kapitan odpowiedział przez dyktafon. Wywiadowca był rozgrzany i podniecony. Coś się zaczynało składać w całość.

Tylko się do czegoś zabrać poważnie - myślał - nie zrażać się brakiem śladów.

- Niechętnie was informowali? - zapytał domyślnie. - Nie chcieli pokazać kartotek.

- Nie chcieli. Mają zastrzeżoną dyskrecję. To Gander dawał ogłoszenie. To jego oferta.

- Aha. Kto odpowiedział na listy?

Kolankowski wyciągnął z teczki spis numerów, zajmujących kilkanaście kolumn w brulionie.

- No, no - uśmiechnął się Korda. - Ludzie szukają miłości.

- Z trzech miesięcy. Za sto pięćdziesiąt złotych ma się prawo do ofert z trzech miesięcy.

- Jeśli nie trafi się miłość, trzeba znów płacić. Dziwne, nie uważacie? - wrzucił ramionami kapitan. W jego tonie krył się jednak pewien namysł. - Macie wszystkie numery rozszyfrowane nazwiskami? Czy żadnego?

- Mam - stęknął wywiadowca - ale kosztowało mnie to godzinę gadania na jednym oddechu. Zaschło mi w gębie... upał... nie ma czym gardła przepłukać.

- Kogo on wybrał i czy w ogóle wybrał? Jak myślicie?

- Ja nic nie myślę, kapitanie. Każda oferta ma numer i trzeba pisać na ten numer do biura. Oni przekazują dopiero listy zainteresowanym. Jeżeli ktoś chce, pisze sam, wprost do

wybranego, i podaje swój adres. Wówczas ludzie korespondują bezpośrednio ze sobą. Biuro się wyłącza i my też będziemy mieć tutaj lukę.

- Co zrobił Gander?

- Być może kogoś wybrał i nawiązał z nim kontakt. Nie ponawiał oferty. Może w ogóle zrezygnował z tej zabawy, okazała się ślepym strzałem.

- Byłoby to dla nas niepomysłne rozwiązanie. Oferty rozsyła się wymiennie - myślał Korda głośno - panów do pań i odwrotnie. Żadnych listów nie było w mieszkaniu Gandera. - Porucznik znalazł tekst jego własnej oferty. Skąd się wzięła? Logicznie rozumując powinien przechowywać propozycje kobiet. Może wziął swoją ofertę z biura? Przy okazji spytajcie o to „Kajusa”. Tam pracują kobiety. Powinny pamiętać. Wykluczone, żeby jakaś kobieta nie zwróciła uwagi na Gandera. W którym on roku składał swoją ofertę?

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. Dwa lata temu.

Alek miał rację - pomyślał Korda - jest dobrym obserwatorem. Twierdził, że Gander był od dwóch lat w dobrej formie.

Kapitan sięgnął po wykaz ofert, z których być może Gander wybrał swój los.

- Przelecieć tyle niewiast? Ładna robótka, co? - zauważył głośno. - Zrobimy to tylko w ostateczności. Kobiety mają prawo do tajemnicy. Na razie to jest tylko samobójstwo, Kolankowski, i nie mamy potrzeby niepokoić ludzi. Wyciągać na światło ich sekrety.

- Tak. Biuro było tego samego zdania. Kierowniczką obawia się o dobre imię firmy. Zaufała nam.

- No, musiała - rzucił sucho Korda.

- Tak - odparł Kolankowski - ale ma nadzieję...

- Rozumiem - uciął Korda - wszystko rozumiem. Kierowniczką słusznie ma nadzieję. Wy musicie być w dobrych

stosunkach z ludźmi, jeśli macie skutecznie pracować. Skorzystamy z informacji „Kajusa”, gdy cokolwiek potwierdzi nasze podejrzenie. - Korda położył rękę na papierach. - I... jeśli nie będziemy mieli żadnego drugiego wyjścia. Na razie zaistniała tylko nowa okoliczność. Gander mógł poznać kogoś przez biuro matrymonialne. To jest realny fakt. Z wnioskami musimy, niestety, poczekać, ponieważ ten fakt jest, no, dość oryginalny. Po prostu nie pasuje do Gandera. Aha, telefon w jego mieszkaniu dalej milczy?

- Było kilka nieważnych połączeń.
- Jakich?
- Krawiec. Delikatesy. Kiedy przesłać zamówienie.
- Aha, ludzie, którzy mogą nie wiedzieć o jego śmierci.
- Mniej więcej.
- Znamienne.
- W pewnym sensie.
- No, dobrze. To co? Zwołujemy drugi raz naradę. Zbierzcie ludzi. Kto jest. Za kwadrans.

Rozdział 12

- Mam do ciebie prośbę, Lidka - powiedział Gander ciepło. - Odrobina sentymentalizmu nie zaszkodziła nikomu, nigdzie i nigdy. Sprawdzone.

Lidia roześmiała się wesoło. - Lubię, jak ty mówisz. Tak ładnie mówisz!

- Chciałbym mieć ofertę, z której mnie wybrałaś.

Lidia nieoczekiwanie spoważniała. Już nieraz się to zdarzało przy byle jakich uwagach albo życzeniach Andrzeja. Nawet było mu to w niej sympatyczne. Reagowała na wiele rzeczy bardzo wyraziście. Od pierwszej chwili wiedział, że musi być z nią ostrożny. Potwierdzało się to w miarę upływu czasu i wzajemnego poznania.

Leżała w rozrzuconym na boki szlafroku. Usiadł przy niej i lekko pogłaskał dłonią jej ramię. Dreszcz przebiegł przez skórę Lidii, delikatny, a przecież doskonale dostrzegalny. Nie wyobrażał sobie już bez niego egzystencji. Zbudował sobie na niej, na jej pięknym, obnażonym ciele gmach iluzji, resztę swego życia. Nachylił się i równie ulotnie, jak dłonią, powiódł ustami po piersiach dziewczyny. Pomagało mu to wierzyć w trwałość miłości. Już wiedział - ostatniej miłości. Od pewnego czasu zaczął bać się jej siły. Pogodny nastrój opuścił go.

- Nie piję - powiedział głośno - słyszysz, Lidka. Wcale nie piję. Nie mam w ogóle pragnienia. Gwiżdżę na alkohol. Słyszysz?

- Wiem - roześmiała się - pogłaszcz mnie jeszcze. Umiesz to robić tak, jak nikt. Nie śniłoby mi się nawet, że ręka mężczyzny może być taka czuła i dobra. Delikatna, mądra.

- Przestań - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Jeżeli będziesz mówić takie rzeczy...

- Ale to prawda, Andrzej - zdziwiła się Lidka - dlaczego nie mówić prawdy? To, co ty robisz z dziewczynami, to są czary.

- Sama będziesz sobie winna. Dobrze - stwierdził obojętnie.

- Nie - zawołała Lidka - nie odchodź. Głaszcz mnie. Chcę jeszcze, zawsze. Chcę umrzeć pod twoim dotknięciem.

- Od tego, dziecinko, powstrzymuje nas resztką rozumu. Znalazłaś metrykę? - zapytał niedbale i cofnął dłoń.

- Och, zapomniałam - szepnęła - będziesz się na mnie gniewał, prawda?

Przyjrzał jej się z namysłem.

- Nie, nie będę - powiedział wolno.

- Andrzej, ale ja tyle rzeczy zrozumiałam przy tobie! Kiedyś chciałam tylko zmienić nazwisko. Moje koleżanki

mają dawno mężów, dzieci. A teraz jest mi z tobą tak dobrze, że wszystko przestało cokolwiek znaczyć. Och, sama nie wiem.

- Poznać siebie to takie samo trudne zadanie, jak poznać kogoś drugiego - odparł z namysłem.

- Och - zawołała z głębi serca - rozumiesz to! Jesteś nadzwyczajny.

Naszła go myśl, że już oboje łamią wzajemną umowę. Ona mu proponuje zmianę reguł gry, na które zgodzili się oboje, zamieszczając oferty w „Kajusie”. Zmilczał jednak. Sam powiedział sobie kilka miesięcy temu, że tam, gdzie zjawia się miłość, tracą moc wszelkie umowy i nastaje bezład. Nie chciał go już ponawiać i pragnął, nienawidził go i pożył, jak przez pewien okres swej biografii - kieliszka.

Jakim durniem jest człowiek - stwierdził pogardliwie - zere, nikim. Goni za drzeniem skóry, może zginąć dla niego, zaprzepaścić najrozsądniejsze przyrzeczenia.

- Nie lubię tego, o czym teraz myślisz - odezwała się Lidka, czujnie śledząc twarz przyjaciela.

Roześmiał się.

- Masz przeważnie rację, dziecinko. Zapnij szlafrok, bo jednak zagłaskam cię na śmierć.

- Powiedziałam ci, że chcę być zagłaskana.

- Wstań, pójdziemy na balkon przyciąć bluszcz, chcesz?

- Dlaczego ten bluszcz, Andrzej, jest taki sam, jak na ramie twojego lustra?

- Ach, zauważyłaś? - uśmiechnął się - to jest włoska odmiana bluszczu, dziecko. Piękna, prawda?

- Ładna. Ale ty lubisz ten bluszcz prawie tak samo, jak mnie, więc ja nie powinnam lubić bluszczu.

- Nie powinnaś - zgodził się z nią - w takim wypadku nie powinnaś, ale ja lubię mój bluszcz mniej od ciebie, więc możesz wyjść ze mną poprzycinać rośliny.

Lidka zaśmiała się jak dziewczynka. Zachwycająco.

- Lidka? - zapytał - skąd ty się wzięłaś taka dziecinna?
- Z ciężkiego życia, wiesz? - odpowiedziała poważnie - teraz wszystko sobie odbijam. Chciałabym, żeby sen z tobą, trwał zawsze, trwał wiecznie. Żebym się nigdy z niego nie obudziła.

- To tylko od ciebie zależy - powiedział surowo i zaraz odezwał się łagodnie: - Zostaniesz ze mną i będziemy siedzieli na naszym balkonie. - Coś przemknęło przez jej oczy. Lęk? - Lidka, dlaczego nie wierzysz we mnie? Myślisz, że wrócę do pijaństwa? - roześmiał się. - Posłuchaj, coś ci powiem, piję, gdy nie ma miłości. Ale gdy wraca miłość, nie istnieje nic silniejszego od niej. Dla mężczyzny - rozumiesz?

- Nie wiem, czy rozumiem - odpowiedziała Lidka, wychodząc na balkon. - A kto to jest - mężczyzna? - zażartowała.

- Taki pan, taki człowiek, co szanuje miłość.

- A dziewczyna? Kobieta nie szanuje miłości?

Gander chwilę milczał. - Nie - powiedział.

- Tak myślisz naprawdę, Andrzej? - zdziwiła się Lidka.

- Naprawdę.

Umilkła i zgasła. Pomyślał, że zadał jej zbyt mocne uderzenie, więc objął ją ramieniem i posadził na leżaku.

- Będę obcinał pędy, a ty będziesz patrzeć, dobrze? Byłem dla ciebie za surowy, co?

- Nie - powiedziała nagle szorstko, tonem, jakiego u niej nie słyszał.

- Chyba cię nie znam, Lidka. Nic o tobie nie wiem - skonstatował nagle. - Pierwszy taki wypadek w moim życiu.

Wydało mu się śmieszne, nie wiedzieć czegoś o kobiecie. A jednak miał to uczucie, gdy chodziło o Lidkę. Skąd to się brało?

- Kiedy zabierzesz mnie do siebie, do domu? - zapytał.

- Jak się urządzę. Kupię sobie ładne meble. Dywan.
- Ja bym chciał zobaczyć twój dom taki, jaki jest.
- Nie - zaprotestowała kategorycznie, uparcie. Takiego uporu nie mógł sforsować. Nie uważał tego zresztą za konieczne. W miłości wszystko musi stać się samo, w przeciwnym razie nie będzie miłości. Popsuje się miłość. Przyjdzie słoń do składu porcelany. Poczekam, pomyślał, życie polega na czekaniu.

- Nie jesteś głodna? - zapytał. - Zrobię ci może kanapkę?
- Nie chcę jeść. Chcę na ciebie patrzeć, jak bawisz się bluszczem.

Uśmiechnął się.

- Znów gadasz swoje rozkoszne głupstwa.
- Może.
- Miałem kiedyś przyjaciela w Operze. Milion razy powinien był w czasie wojny umrzeć według wszelkiego prawdopodobieństwa, i żyje. Świetnie się ma. On też lubił pleść jak ty. Bawił się tym. Kochałem go za to. Jest jedynym mężczyzną, któremu wierzę bez zastrzeżeń.

- A ja ubóstwiam cię za to, że jesteś mądry i wyrozumiały. Za to, że wszystko wiesz.

- Lidia! - oburzył się Gander szczerze. - Nic nie wiem. Nie więcej od mężczyzn w moim wieku. Od ludzi w ogóle, którym przypadek dosolił.

- Gdybyś nadal śpiewał, nigdy bym tu nie siedziała - zauważyła.

Gander przestał sprawdzać nawilgocenie gleby w rowkach. Prawdopodobnie masz rację - pomyślał. - Włóczyłbym się po świecie z Hanką. Od garderoby do garderoby, od stolicy do stolicy, od kobiety do kobiety.

Lidka wstała, przeciągnęła się, zrzuciła szlafrok, zaczęła się ubierać do wyjścia.

Stał oparty plecami o ściankę z bluszczu i patrzył na nią, aż zapięła ostatni guzik przy sukni i zaciągnęła ostatnią dziurkę

przy pasku. Mógłby stać i patrzeć tak na nią w nieskończoność, co było zupełnie niemożliwe.

Takie chwile rekompensują mi obce stolice i stare, oszołamiające sukcesy, chociaż żaden aktor by mi nie uwierzył, gdybym spróbował go o tym przekonywać. I nawet bym nie próbował - myślał. - Co wiedzą ludzie goniący bez sekundy namysłu od godziny do godziny, czym może być dla człowieka drugi człowiek? Czyjeś bijące równo serce, spokojny puls, ciepło oddanego ciała?

- Byłbym całkowicie szczęśliwy, Lidka, gdybym mógł wziąć w ręce twoją duszę, jak biorę w dłonie twoją mordkę - całował jej usta i oczy. Uśmiechnęła się sennie.

- Ty zawsze zostaniesz artystą, Andrzej. Zrobisz z każdą dziewczyną, co zechcesz, nawet gdy będziesz miał sto lat. Przyjdę do ciebie jutro. Niestety, późno, po zamknięciu Mody. Nie zawsze jest niedziela.

- Nie zapomnij kluczy! - zawołał z balkonu - mogę wyjść. Lubię wracać i zastawać cię pod kołdrą. Pojęcia nie masz, jak lubię! Zawsze na schodach wyrzucam sobie orła i reszkę. Najprzyjemniejsza jest niespodzianka.

Rozczarowanie też nie jest złe - pomyślał. - Ma się wówczas na co czekać, do czego tęsknić. Najgorsza była dla mnie pustka. Przez ostatnie lata zastępował ją kieliszek. Ale zawsze hodowałem w sobie nadzieję - jutro będzie lepiej. Jest chyba taka piosenka.

Postanowił wyjść na kawę, kupić pisma literackie. W osiedlowej kawiarence, która nazywała się „Marzenka”, wpadł nagle na przyjaciółkę z dawnych lat. Kiedyś zaczynała w operowym balecie, za jego czasów. Obecnie była głośną gwiazdą, solistką, primabaleriną.

- Wyglądasz cudownie, Anetko - zawołał z głębi serca i zdziwił się szalenie, że nie chce uciekać. Przeciwnie, miał ochotę zamienić z nią parę słów. Popatrzeć na wypieszczoną, elegancką, pewną siebie kobietę, która była kiedyś szczupłą,

żeby nie powiedzieć chudą, dziewczynką o wielkich oczach. Wziął ją do łóżka z litości, tak bardzo prosiły go o to jej oczy. Spostrzegł, że te same piękne oczy Anetki przyglądają mu się ze szczerym podziwem.

- Andrzej - wyjąkała - jesteś znów taki piękny i młody jak kiedyś. Wiesz, wtedy, gdy ja cię kochałam na śmierć. Beznadziejnie, żałośnie, komicznie.

- Dziękuję za komplement - roześmiał się radośnie.

- Nie, to nie jest żaden komplement - powiedziała poważnie. - Ja cię kochałam naprawdę. Jak to dobrze, że znów żyjesz. Dziewczyna, co? Kobieta. Nie próbuj mnie tylko oszukiwać. Znam cię, Andrzej, za dobrze.

- Zgadłś, Anetko. Szczerość za szczerość. Wiem, że mnie bardzo lubiłaś.

- Ja cię jeszcze Kocham - zawołała na cały głos Anetka. - Boże mój, jak się cieszę, że ci poleciało... Jak ja się cieszę!... Oni mówili w Operze, że jesteś skończony... chorujesz.

- Nie wyprowadzaj ich z błędu - zaproponował lekko.

- Jasne, że nie! - krzyknęła. - Wyobraziłbyś sobie, że zrobię inaczej? Przyjdiesz do mnie? Odwiedzisz mnie? - patrzyła na niego jak dawniej, zawsze, oczarowana, dziś już świadomymi oczami wielkiej artystki.

- Daj łapkę, Anette - poprosił ciepło.

Wyciągnęła wąską, wyrazistą dłoń tancerki. Wziął ją w obie dłonie i podniósł do ust.

- Jesteś Wspaniałą kobietą, Anette. Doszłaś w życiu do odkrycia siebie i nie boisz się pokazać ludziom na scenie, kim jesteś. A więc kim są oni. Czym jest piękno. Prawda. To bardzo dużo, Anette - wszystko!

- Nie doszłam tylko do ciebie - zaśmiała się lekko, jak on. Wzruszył bezradnie ramionami.

- No, dobrze już, dobrze! Wystarczy mi, że widzę cię w formie.

- Czekasz tu na kogoś, Anette?

- Tak.
- Konspiracyjnie?
- Tak.
- Już się ulatniam.

Wyszedł na osiedlową wewnętrzną ulicę, żeby jej i sobie nie przeszkadzać. Nie wypił kawy, ale coś w nim śpiewało. Wygrana.

Rozdział 13

Kapitan Korda stanął obok Alka. Baumann zauważył go, ale nawet nie drgnął. Żadnym gestem nie zdradził się swoją wiedzą. Kapitan wiedział, że Alek go nie zobaczy do końca pogrzebu, jeśli sam nie da mu pretekstu do powitania.

Alek nie wyzywał się konspiracyjnych przyzwyczajęń - myślał Korda - chociaż huk lat minęło od tamtych czasów i przez ten okres nauczył się wystawać na przyjęciach dyplomatycznych, popijać cocktaile, wybierać słowa, które nic nie znaczą. Nieprawda, że człowiek się zmienia, stwierdził. Coś się w nas tylko nawarstwia, nakłada i robimy się podobni do tortu. Pierwsza warstwa jednak pozostaje ta sama.

Dawno nie brał udziału w podobnym pogrzebie. Zeszła się sławna Warszawa i nawet na finałach festiwalu piosenkarskich nie można by było zobaczyć takiej plejady pięknych kobiet. Od studentek pierwszych lat szkół artystycznych do gwiazd w zenicie i zbliżających się ku zachodowi. Tym staranniej ubranych, ciekawszych, odznaczających się silniejszą osobowością, własnym stylem bycia.

Korda miał naprzeciwko siebie Zygmunta w ciemnym ubraniu. Stał z tak uroczystą miną, że gdyby nie okoliczności, kapitan mógłby się uśmiechnąć. Porucznik przyłapał wzrok Kordy na sobie, stropił się.

Nikt nie zapomniał Andrzeja Gandera - myślał kapitan - a przecież stał się niemodny i byłby niemodny, nawet gdyby żył

i pracował. Opera się przeżywa, nie ma siły na zatrzymanie tego procesu. Widocznie jednak wielkość człowieka nie polega tylko na aktualności jego sztuki, ale na jakimś elemencie niezmiennym. Z braku słów tłumaczących to zjawisko nazywamy je prawdziwą sztuką.

Która z tych pięknych kobiet pomogła mu przeżyć ostatnie lata? - pomyślał Korda. - Która go zabiła?

Alek przemawiał pierwszy nad trumną. Kapitan miał tyle do myślenia, do obserwowania, że świadomie eliminował głos przyjaciela.

Niebywale na przykład interesowała Kordę pewna dama, której łzy trysnęły z oczu, gdy Alek zaczął przemawiać. Na tej kobiecie znać było wyraźnie cienką warstewkę zagranicznego makijażu i mody. Nie mogło być mowy o pomyłce. Wysiadła z samolotu lecącego z Paryża do Warszawy przez Berlin.

Można było polegać na Kolankowskim. Zdjęcia obecnych wyjdą bez zarzutu.

Alek skończył przemówienie i cofnął się do tyłu, oddając trybunę przedstawicielom innych stowarzyszeń twórczych. Zrównał się z kapitanem i stali już do końca ceremonii obok siebie.

- Czy jest tu obecna solistka baletu, o której mi wspominałeś? - zapytał kapitan zniżonym głosem.

A więc Alek zobaczył kapitana. Pokazał mu szczupłą kobietę o oczach jak śliwki. Stała za plecami ostatniej żony Gandera, Hanki Worobiov, która nad ranem przyleciała z Paryża i udała się taksówką wprost do domu przedpogrzebowego.

Służba cmentarna spuszczała trumnę do grobu. Pani Worobiov schyliła się, wzięła garść piasku i sypnęła nim na wieko. Nikt więcej tego nie zrobił.

Szanuje tradycje - pomyślał kapitan - albo to niezależny odruch, bo tkwi po prostu w naszym obyczaju.

- Przedstawisz mnie pani Worobiov, Alek?

- Jeśli zaraz nie odlatuje.
- To nic. Mam wóz. Odwieziemy ją na lotnisko. Pojedziesz? Będzie mi zrzęczniejsz.
- Dobrze.

Nikt nikomu nie składał kondolencji przy grobie zarzuconym górą cudownych kwiatów. Akurat było lato, sezon kwiatowy. Niektórzy artyści przerwali urlopy. Legenda Gandera była mocna.

Alek pociągnął kapitana w stronę Hanki Worobiów. Śpiwaczka wycierała chusteczką twarz i skarżyła się na zrujnowany makijaż.

- W ogóle nie płaczę - mówiła - dawno zapomniałam, jak się to robi. Okropnie wyglądam, co? Muszę wracać na lotnisko. Nie mogę wysiąść w Berlinie z taką twarzą.

- W toalecie na lotnisku dostaniesz wszystko, co chcesz, Hanka. Nie martw się - perswadował Alek. - Załatwię to. Mam wóz, chodź, odwiozę cię.

Zdjął mi wszystko z głowy - pomyślał kapitan. - Jest obiektywny, jak dawniej. Co za ulga, że możemy się jeszcze odnaleźć, odszukać. Ludzie tych samych poglądów, jednego życiorysu, doświadczenia. Co będzie, gdy powymierają wszystkie stare tuzy i człowiek zostanie sam, jak głąz przy drodze, obcy całkiem nowemu światu?

- Naprawdę masz tu wóz - ucieszyła się pani Worobiów - jesteś cudowny, Alek! Jak zawsze. Pomożesz mi poprawić twarz. Świetnie, jedźmy, kochany. Cóż możemy jeszcze zrobić dla biednego Andrzeja. Kompletnie nic. To straszne.

Nie będę się martwić na zapas - myślał Korda - nie pozwolę sobie przeżyć samego siebie. Uratuje mnie od tego stałe ćwiczenie mózgowicy.

- Nie sądziłem, że wygrzebiesz się z Paryża, Haniu. Nie sądziłem, słowo daję - mówił Alek. - Pozwól, to jest mój przyjaciel, kapitan Korda.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedziała pani Worobiów,

zupełnie nie widząc Kordy, zajęta tylko katastrofą swojej kosmetycznej młodości. To było nawet na rękę kapitanowi.

- Kto cię zawiadomił? - dziwił się Alek. - Myśmy tu, w kraju, nie wszyscy wiedzieli o nieszczęściu.

- Aneta do mnie zadzwoniła - powiedziała z roz targnieniem pani Worobiov. - Gdzie masz wóz?

- Stoi - wtrącił kapitan - czarna wołga.

- Zawiadomiła mnie przedwczoraj wieczorem. Zupełnie się rozchorowałam. Połączyłam się natychmiast z Air-France, potem wzięłam proszek na sen, ale nie usnęłam. Wczoraj miałam jeszcze wieczór w Operze. Mówię ci, śpiewałam tragicznie. Głowa mi pękała z bólu. Znów koszmarna noc, wczesny odlot i dziś - śpiewam. Alek, my musimy mieć końskie zdrowie, jakby się ktoś o to pytał. Ale nikt się nie pyta. Wykonaj swoje i już. Na dobrą sprawę nie powinien nam nikt umierać, rodzić się ani chorować.

Wsiadła do wołgi, jej głos utonął we wnętrzu samochodu. - Pan z nami jedzie? - zwróciła się uprzejmie i obojętnie do Kordy. - Bardzo ładnie z pana strony.

- To jego wóz, Haniu! - roześmiał się lekko Alek. - Oprzytomnij.

- Oprzytomnij, oprzytomnij! - zdenerwowała się trochę pani Worobiov - dobrze ci mówić. Pojedziesz na Hożą i rozwalisz się na tapczanie. Gospośia naparzy ci mocnej herbaty. Znam cię, stary łobuzie - roześmiała się serdecznie, szczerze.

To był dobry moment i Alek go wykorzystał.

- Słuchaj, Hania, pomóż Kordzie - poprosił.

- Ja? - zdumiała się nieopisanie pani Worobiov. - W jaki sposób? O co chodzi? Pewnie, naturalnie, zrobię dla ciebie wszystko, Alek. Tylko nie mam pojęcia, co mogłabym...

- Nic takiego - odezwał się Korda. - Czy, pani zdaniem, Andrzej Gander mógł popełnić samobójstwo?

Z prawdziwym zainteresowaniem oglądał metamorfozę na

jej twarzy. Przestała być aktorką, grać. Siedziała obok niego zamyślona i zaskoczona kobieta.

- Sama się jeszcze nad tym dobrze nie zastanowiłam - powiedziała wolno, spokojnie - a pan wymaga ode mnie takiej odpowiedzi. Jeszcze się z tym nie rozprawiłam. Nie miałam czasu. Ciężko pracujemy, proszę pana. Wszystko inne, reszta, co mówimy, co robimy, to pozór.

- Wiem - uciął krótko. - Być może wolę, że pani za dużo nie myślała nad sposobem odejścia Andrzeja Gandera. Taka odpowiedź, pierwsza myśl, bywa najtrafniejsza.

- Andrzej kochał życie - odrzekła jego żona - szanował talent, piękno, we wszystkim... czy to jest dla pana jakaś odpowiedź?

- Poniekąd. Czy pan Gander mógłby popełnić desperacki czyn z miłości do kobiety?

Pani Worobiov uśmiechnęła się bardzo pięknym uśmiechem.

- Andrzej kochał wszystkie kobiety, proszę pana. Nie traktował miłości śmiertelnie serio, jak na przykład Alek!

- Hania! - ostrzegł ją Alek.

- Tak - ciągnęła nie zrażona śpiewaczka - ale kiedy kończy się życie, zwłaszcza artysty, aktora, nie wiadomo, co może z tego wyniknąć. Jeśli ktoś mu dał uczucie i chciał potem zabrać. Miłość miłości nierówna, panie... panie kapitanie, czy tak? Idziemy przez życie pewni, żeśmy ją poznali, i trafia się ta jedna, wywraca cały porządek naszych wyobrażeń.

- Cygańskie dziecię - zakpił Alek z pani Worobiov.

- Nie żartuj, żebyś nie pobeczał.

- Wiem, Hania - rzucił serio - wiem wszystko. Nic ci o tym nie wiadomo?

- Wiadomo, Alek.

Kapitan poczuł dziecinne, niemniej prawdziwe ukłucie zadości. Chciałby, żeby ta ręka dotknęła go w ten i taki właśnie

sposób. Czują, pachnąca ręka przyjaciela, który może być - jak się okazało - także kobietą.

- Słuchaj, Hania - powiedział Alek - ja nie mogę uwierzyć, że on wziął i po prostu skoczył sobie z balkonu. Za nic nie mogę w to uwierzyć.

- Może ja też nie mogę, Alek. I co z tego?

Nic - pomyślał Korda - masz rację.

- Mnie o coś pytano - zauważyła delikatnie pani Worobiov - odpowiedź na takie pytanie jest wzięciem na siebie odpowiedzialności, prawda?

Pod pozorem kobietki ukrywa się bardzo poważny człowiek - pomyślał Korda. - Prawidłowe. W przeciwnym razie nie dostałaby kontraktu w paryskiej Operze. Żeby coś reprezentować w swoim zawodzie, trzeba też coś przedstawiać sobą.

Na Okęciu Alek narobił tyle szumu, ile potrzeba, aby powróciło jej dobre samopoczucie, przeświadczenie, że jest sławną i piękną kobietą, o którą wszyscy się troszczą.

Wyszła z toalet, jakby świetnie spała przez wiele nocy. Nie odbywała żadnych podróży, nie musiała jeszcze tego samego wieczoru ciężko pracować. Jej oczy błyszczały jak dwie gwiazdy.

- Kocham za to swój zawód, Heniek - powiedział Alek patrząc na Hankę Worobiov, idącą przez hall w ich kierunku. - Za dyscyplinę wewnętrzną, która jest siłą człowieka. Popatrz tylko na nią, no?!

- Wcale nie uważam, że tylko wojsko albo paramilitarne zawody wyrabiają ludziom charaktery - mruknął Korda - jeżeli tak choć przez chwilę sądziłeś. Wojny, walka, konspiracja, rewolucje to jest niewątpliwie szkoła życia, ale tylko też.

Pani Worobiov podeszła do nich.

- Przejdę już na stronę oclonych, zgoda? Nie pogniewacie się, prawda? Mam jeszcze dwie godziny czasu, ale tam jest

cisza. Muszę posiedzieć w ciszy, żeby dziś wieczorem dobrze wykonać swoją pracę. Nie mogę więcej mówić.

- Kapitan rozumie - powiedział Alek za Kordę i pocałował Hankę w pachnący Diorem policzek.

- Nie może się więcej eksponować - zauważył, gdy obaj trochę odeszli. - Ona przy ludziach musi grać, choćby nie chciała. Nie można tego ciągnąć na okrągło przez dwadzieścia cztery godziny.

A ja - myślał kapitan - jestem dalej w punkcie wyjścia. Ty-le mówiliśmy i powiedzieliśmy sobie tylko to, co sam wiem.

- Heniek? - Alek przywołał kapitana do rzeczywistości - jeśli myślisz, że jej zdanie zachwiało moim przekonaniem, to się mylisz - powiedział chłodno.

Alek wyszedł z wojny bez żadnej litości dla kogokolwiek, kto uderzy w kogoś z nas - jeden życiorys, te same doświadczenia. Skutek sposobu zabijania Żydów? Zabijać można też różnie, i to ma też określone skutki.

- Alek? - zagadnął Korda delikatnie - nie gryź się.

Jeżeli ktoś zniszczył Andrzeja Gandera, będziemy go mieli.

Alek położył rękę na ramieniu Kordy.

- Ciężko, Heniek - powiedział w przestrzeń - żeby jakiś łotr umknął na naszych oczach odpowiedzialności. Przysięgaliśmy sobie niczego nie darowywać. Żadnej podłości.

- Przecież jeszcze żyjemy, Alek - uśmiechnął się Korda.
- Mówisz tak, jakby ktoś chciał skapitulować.

Wysoki, wyniosły mężczyzna został na chodniku przed swoim domem i patrzył za odjeżdżającym wozem Kordy. Sterczał tam jak samotne drzewo i takie porównanie nasunęło się kapitanowi.

- Zatrzymajcie się! - zawołał w tej samej chwili do kierowcy - coś zapomniałem.

Alek jakby jeszcze na to czekał, dalej stał w miejscu.

- Nie zapytałem cię, kto to jest Aneta? Ta osóbką dzwoniła do Paryża, do pani Worobiów.

- Była na pogrzebie. Pytałeś o nią. Tancerka. Dzisiaj - świetna. Ta sama, o której ci już wspominałem.

- Aha, pomarańczowy fiat, tak? - roześmiał się Korda. - Wielkie, niebywale wielkie oczy.

Alek kiwnął głową i wszedł na schody. Przed komendą kapitan natknął się na Zygmunta, właśnie go potrzebował. Pojechali obaj windą na górę.

- Jak wygląda sprawa samochodu? - spytał Korda. - Kto ze znajomych Gandera jeździ pomarańczowym fiatem?

- Nikt - stwierdził porucznik. - Dziwne. Szaleństwo na bahama yellow i żadna z niewiast ze zdjęć znalezionych u Gandera nie ma takiego wozu.

- Tak - mruknął kapitan - zdarza się. Sprawdziliście, czy Gander brał tekst swojej oferty w biurze „Kajusa”?

- Niczego nie brał. Kobiety w „Kajusie” są tego niemal pewne.

- Dostał zatem tekst od kobiety, z którą nawiązał kontakt.

- Zakładacie, kapitanie, że jednak poznał kogoś przez biuro?

- Jasne, a jaki inny wniosek można wysnuć?

- W taką znajomość trudno uwierzyć.

- Dlaczego?

- Taki mężczyzna bawi się w takie rzeczy? Po co? Mógł mieć każdą kobietę. A jeśli nie każdą, to prawie.

- A jeśli nie mógł mieć żadnej albo powziął takie mniemanie, że nie może?

Zygmunt milczał.

- Nie masz trzydziestki, Zygmunt. Nigdy nie byłeś podłączony pod kran - zauważył spokojnie Korda.

Kazał sobie przynieść zaraz zdjęcia z pogrzebu, gdy tylko wyschną.

Niestety - myślał - będziemy chyba musieli zaniepokoić ludzi. Co gorsza, kobiety, które mają nieraz bolesne tajemnice, ale tylko „Kajus” może nam coś naprawdę wyjaśnić. Dawne środowisko Gandera to jego stary i już martwy stan. Alek miał rację.

Zlecił sekretarce zwołanie narady na następny dzień, na ósmą rano.

Jeśli nie zgodzimy się wszyscy w grupie na ruszenie „Kajusa”, będziemy musieli zamknąć śledztwo z konkluzją: „brak poszlak na działania osób trzecich w sprawie wypadku Gandera”.

Poza wszelkimi innymi względami, byłbym nie w porządku, nie wykorzystując wszystkich dostępnych źródeł informacji. Przekonam ludzi.

Rozdział 14

Lubił siadywać o szarówce, ukryty w leżaku na balkonie, niewidoczny na tle bluszczu. Lubił ją słyszeć, jak delikatnie wkłada klucz w zamek. Później widzieć, jak wchodzi, przekonana, że go nie ma. Że mieszkanie jest puste. Lubił oglądać jej ostrożne ruchy, jakby nie chciała potrącić żadnego mebla.

Wówczas myślał, że Lidia się tu jeszcze nie czuje u siebie, chociaż dał jej klucze i usiłował przekonać ją, że jego dom jest jej domem. Nadal była u niego gościem.

Zadawał sobie bezskutecznie pytanie, dlaczego? Gdy leżała przy nim, czuł, że jest dobrze. Nie mógł więc powiedzieć sobie, że Lidia traktuje ten związek przelotnie. Zachowywała się tylko tak, jakby zostawiała za sobą zawsze półotwartą furtkę. Jak człowiek, który wie, że odejdzie. Sam postępował tak przez całe życie i robił to wielokrotnie. Uśmiechał się więc do siebie w ciemności, bo oto na koniec ktoś brał na nim rewanż.

Lidka zapaliła w pokoju światło i zobaczyła go siedzącego w głębi balkonu.

- Jesteś! - zawołała z zadowoleniem. - Ja też lubię twoje niespodzianki, Andrzej. Lubię najpierw myśleć, że cię nie ma, a potem gdzieś cię odnaleźć.

Uśmiechnął się i bez pośpiechu wstał z leżaka. Stał w progu pokoju i oparł się o framugę drzwi. Trzymał ręce w kieszeniach szarych, flanelowych spodni, miał na sobie rozpiętą koszulę w różowo-perłową kratkę.

- Jak mi się udało ta koszula! Leżała w sklepie i czekała na ciebie. Ona wyciąga na wierzch twój charakter. Nie urodę, rozumiesz, ale charakter.

Zmieniła się nadzwyczajnie - pomyślał - rozwinęła, dojrzała. Inaczej mówi, innym trybem myśli. Jest jak wielki motyl, który zrzucił skórę liszki.

Widział jej twarz w świetle bocznego kinkietu, długie, pokryte tuszem rzęsy, obwiedziony czarną kredką wykrój oczu, przedłużony ku skroniom, delikatne, świetnie zrobione cienie na powiekach, uchodzące w górę, ku brwiom, coraz lżejszym kolorem. Lidka nauczyła się luźno czesać włosy i widać było ich miedziane błyski.

- Nasz charakteryzator w Operze, pan Aniołek, by się nie powstydział! - zauważył głośno i widać było, że sprawił jej przyjemność.

Czy ja zrobiłem z niej to wszystko - pytał się siebie niepotrzebnie, albowiem kobieta jest zawsze dziełem mężczyzny, jak mężczyzna dziełem kobiet.

I znów maj - pomyślał. Za jego plecami szalał bluszcz. Na dole, na skwerach, które przecinały pieszce ciągi osiedla, wariowały bzy.

- Lidka? - odezwał się - czy wiesz, że minął rok?

- Och, wiem! - wyrwał się z niej okrzyk tak szczerzy, spontaniczny, że Andrzej uznał za stosowne obrazić się:

- Powiedziałaś to tak, jakby ci się ten rok wydał nie

wiadomo jaką katorgą - rzekł urażonym tonem. Naburmuszył się jak chłopiec.

Układała w wazonie liliowy potrójny bez. Niektóre płatki wpadały w głęboki fiolet i wprost oddychały jak żywe. Przerwała na chwilę swoją czynność, chciała się też obrazić. Zawahała się, podniosła oczy na Andrzeja, opuszczając ręce z bzem wzdłuż ciała.

- Owszem, tak. Masz rację. Dla mnie to było znacznie więcej niż rok i dużo ważniejsze, niż mógłbyś sądzić - powiedziała szczerze. - Coś ci przyniosłam, wiesz? Pamiętasz? O coś mnie kiedyś prosiłeś.

Gander westchnął i wszedł do pokoju.

- Prosiłem cię o różne rzeczy, Lidio.

- I wszystkie spełniałam, prawda? - spytała jak dziewczynka żadna pochwały.

- Widocznie nie, skoro coś tam dla mnie masz z remanentów - roześmiał się. Serce w nim drgnęło. Ciągle czekał na jej słowo - to jedno.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła złożoną we czworo kartkę z powielacza.

- Och, przyniosłaś mi ofertę „Kajusa” - uśmiechną się - to ładnie z twojej strony. Chyba już zapomniałem o niej - urwał i znów czekał, żeby się domyśliła, co chce usłyszeć, ale Lidka wydawała się głucha na tę ciszę. Wyciągnął więc rękę po już nic nie znaczący świstek.

- Och, nie! - zaśmiała się Lidka i cofnęła się żywo do tyłu - dam ci, jeśli dostanę coś w zamian od ciebie.

Chciał odebrać jej kartkę, którą machała śmiesznie w powietrzu, ale zamiast tego całował ją i już nie szukał dłonią jakiejś tam oferty sprzed wielu miesięcy.

- Wystarczy za ten gazetowy świstek czy jeszcze? - zapytał, odrywając się od niej.

- Wcale nie wystarczy - powiedziała poważnie. Ułożyła się na tapczanie, patrząc na niego zachęcająco.

Wsunął ręce w kieszenie i spojrzął na nią z góry. Nie ruszyła się z miejsca.

- Dostanę mój list za ofertę? - zapytała.

- List? - zdziwił się.

- Tak. Nie masz go? Trudno. Nie będę taka podła i dam ci tę... - wyciągnęła kartkę zza stanika. Czasem coś takiego robiła, jak wiejska dziewczyna, i przez to podobała mu się jeszcze bardziej.

- Ależ mam! - zawołał z przejęciem - mam twój list, dziecko.

- Masz? To dobrze - ucieszyła się Lidka.

Otworzył szufladkę obok niej. Próbowwała go ściągnąć do siebie na tapczan, bezskutecznie.

- Mam twój list - mówił - zachowałem go. Nigdy w życiu nie traktowałem serio małolatek. Nie uwodziłem pensjonerek... no, gdzież on się zapodział? Przewracał beładnie w szufladzie pełnej spinek do mankietów, spinaczy, gwoździków różnego rodzaju, rachunków za gaz i światło, metek od garderoby. - O jest, mam! Sądząc po piśmie, jesteś pierwszą małolatką, jaką uwiodłem. - Rzucił okiem na drobno zapisaną kartkę. - Czy muszę ci go dać? Żał mi. Przyzwyczailem się do niego.

Lidka zajrzała w głąb szuflady.

- Jak do tych szpargałów, co?

Zaśmiał się szczerze.

- Nie znasz mężczyzn, dziecko!

- Nie, nie znam - powiedziała pochmurnie - dawaj mój list!

- Obraziłaś się, że leżał razem ze szpargałami? To właśnie znaczy, że go lubiłem. Jesteś smarkata, masz swój list!

Uśmiechnęła się do niego ładnie. Z mieszaniną ironii i sentymentu przeczytał zakreśloną kółeczkiem ofertę.

- Komiczne - mruknął - trzynastka. Czy dlatego mnie wybrałaś?

- Nie.

Podszedł do lustra, wysunął listewkę, schowaną w ornamencie ramy.

- Pokaż! - ucieszyła się zachłannie. - Cudowne! W życiu nie widziałam czegoś takiego - cieszyła się Lidka.

Złożył jeszcze raz kartkę i wsunął ją do sekretki.

- Mnóstwa rzeczy nie widziałaś jeszcze, dziewczynko. Sam kupy rzeczy sobie nie wyobrażałem, jeżeli potrafiłem wyleźć z dna, wyratować się takim bzdurnym pomysłem, jak ta oferta. Niech sobie spoczywa w renesansowej sekretce, amen, błogosławiony pomysł starego cynika. To będzie nasza tajemnica, chcesz? - zaproponował jej tak, jak obiecuje się dzieciom skarby. - Moja i twoja.

- Nikt nie wie o szufladce? - ucieszyła się Lidka.

Zrobił w myślach błyskawiczny przegląd kobiet, które mogłyby znać sekret lustra. Zdziwił się. Żadnej, nikomu nie pokazywał szufladki. Bez premedytacji albo potrzeby posiadania sobie tylko znanej skrytki. Po prostu z żadną kobietą ani dziewczyną nie bawił się dotąd tak świetnie w najcudowniejszą zabawę, jaka egzystuje, w życie we dwoje.

- Nie - odrzekł powoli - nikt nie zna tego lustra. Sam rzadko przypominam sobie o sekretce. Kiedyś musiałem mieć dobre lustra. Były dla mnie przede wszystkim narzędziem pracy, sprawdzianem wyglądu. Aktor nie może być bez kontroli nad sobą. Zwłaszcza taki, który ma pozycję w zawodzie.

- Cudownie, Andrzej. Będę miała u ciebie coś swojego.

Tak - pomyślał z ironią - i tylko tyle mogę ci dać. Resztę roztrwonilem.

- Cieszę się, że sprawiło ci to przyjemność - powiedział głośno. - Co chcesz zrobić z listem?

- Jak to co? - zdziwiła się. - Schować. Niech będzie, że poznaliśmy się normalnie, jak inni ludzie, nie? Nie mam tylko takiego dobrego miejsca na mój list, jak ty na ofertę. Do twojej

oferty nikt się nie dobierze - zaśmiała się. - Najeździłeś się po świecie, co? - zmieniła temat.

- Chciałabyś? - zapytał szybko.

Wzruszyła ramionami.

- Można dużo chcieć. Ale pracuje się od jedenastej do dziewiętnastej, codziennie. Akurat jest miejsce na podróże.

- Miewasz urlopy - zniecierpliwił się lekko.

Dla niej wszystko było problemem, ale składał to na karb prowincjonalizmu. Wcześniej czy później wybawi ją z tego i nie ma się o co złościć, jeżeli na wszystko przychodzi czas.

- Mam, pewnie, ale jestem skonana po całym roku skakania za ladą. Muszę odpocząć, a nie zwiedzać katedry albo muzea:.

Miała pewną rację, mógłby się z nią zgodzić.

- Można wyjechać nad ciepłe morze i patrzeć przed siebie - zauważył.

- Można, jeżeli się już wszystko inne widziało, Andrzej. Człowiek, co nic nie widział, chce za granicą oglądać.

Roześmiał się.

- Lidka, z tobą trudno wygrać. Gdybym nie był przeciwny idiotycznym, męskim gadkom, musiałbym wspomnieć o kobiecej logice.

- Ale nie wspomnisz, prawda? - otarła się o niego, mała, miękka łąsiczka. - Bo jesteś wyjątkowy. Inny niż wszyscy.

Rozpromienił się, nie zauważył, że bierze go zawsze pod włos. Robi z nim, co chce. Tak bardzo potrzebował po tym, co przeżył - afirmacji.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, nic o nim nie wiedziała i wiedziała wszystko.

- Lidio, pozwól mi przychodzić po ciebie wieczorami do pracy - poprosił. - Nie mam wcale zajęć. Emerytura ma swoje złe strony. Nawet dla zasłużonych. Miałbym codziennie zadanie. Odebrać Lidkę z roboty!

- Przestań! - krzyknęła. Błękitne oczy o rzadkiej, ciemnej barwie tęczówki, zrobiły się naraz zupełnie czarne.

- Nie chcę - dodała namiętnie, z pasją niewspółmierną do błahości jego pragnienia - nie chcę, żeby człowiek taki jak ty wystawał przed Modą i czekał na dziewczynę. Nie widzisz, że to śmieszne? Jak ty byś wyglądał? Chcesz siebie ośmieszyć? Czy nie umówiliśmy się raz, że ja będę przychodzić do ciebie? Było nam cudownie? Dlaczego chcesz wszystko zepsuć? - załkała i nagle wybuchnęła łzami.

Stał skonsternowany na środku pokoju i nie wiedział, co o niej sądzić. Lidia zachowywała się często jak dziecko. Wpadło mu na myśl, że wymyśliła bajkę swojego życia, coś zupełnie nieprawdziwego, o czym lubią marzyć dziewczyny z małych miast, myśląc o karierze, a on chce jej zepsuć zabawkę.

Objął jej plecy ramieniem. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł łzy zmieszane z tuszem i czarną kredką.

- No i coś ty zrobił z moimi oczami - rozpaczała dalej Lidia.

Ogarniała go łagodna rezygnacja. Był przyzwyczajony gasić kobiece histerie, łagodzić cholerne humory. Obiecał sobie parę lat temu, że nigdy już tego właśnie nie będzie robił. Od czasu gdy wyszedł z pachnących szminką garderób, z teatrów operowych. I zaczynał znów od początku, to samo, z niepojętą w sobie czułością, jakby wracał stary, zapomniany nałóg.

- Nie myślałem, że rozsądne dziewczęta, pracujące w uspołecznionym handlu, są tak samo niezrównoważone jak operowe diwy - powiedział głośno - no już, przeszło?

Nie szczyplę tusz? Chodź, pójdziemy do łazienki i umyjęmy porządnie oczy, a potem zrobimy ci makijaż, chcesz?

Kiwnęła posłusznie głową, ucichła, uspokojona.

Gander został sam. Odwrócił się do lustra i patrzył w swoje odbicie z naganą. Później wrzucił nad sobą ramionami.

Poczuł się bardzo znużony, położył się na tapczanie i przy-
mknął oczy.

Rozdział 15

Bicie serca przebudziło go koło północy. Oszałały, pulsujący kawałek mięśnia rozsadał żebra, dławił w gardle. Otworzył szeroko oczy, wpatrzył się w ciemność, usiłując opanować własne serce. Był sam. Lidia odeszła.

Musiałem zasnąć - pomyślał. - Możliwe, że Lidia ma sporo wad wynikających ze specyficznego infantylnizmu, ale jest delikatna. Pogasiła światła, zdjęła Andrzejowi buty i przykryła go kocykiem, zostawiając w spokoju, jak przyłapał go sen.

Długo spałem. Reszta nocy zmarnowana. Serce skakało jak konający królik. To oznaczało, że dziki lęk zaraz ustąpi.

Gander znał swój organizm. Śpiewak operowy musi oceniać pojemność oddechową swoich płuc, elastyczność przepony, grymasy pompy tłoczącej krew do żył. Powinien panować nad tymi procesami. Zakres możliwości oddziaływania na funkcje fizjologiczne jest większy, niż sądzą ludzie, dla których działanie własnego organizmu jest mniej zauważalne.

Wiedział, że nerwica serca nie zabija, nie jest przez to jednak mniej przykra. Można ją pokonywać także w taki sposób, w jaki nauczyli go panować nad instrumentem własnego ciała znakomici wokaliści.

Ile zawdzięczamy w życiu mądrym ludziom - pomyślał. Serce uspokoiło się, złapał oddech, ale czuł się wypompowany jak bokser na ringu. Umiał dać sobie radę ze sobą, ale nie obywało się to bez kosztów własnych.

Ubrał się w piżamę, pościelił tapczan, pogasił światła i położył się na leżaku, chwytając długi oddech z obfitości zieleni

na balkonie. Drugi, kolejny maj, od którego nie tknął kieliszka, był bardzo ciepły. Powietrze głąskało twarz wietrzykiem lipca nawet w nocy.

Zadzwonię rano do Mody i sprawdzę, czy Lidia pracuje na Ordynackiej - pomyślał spokojnie i obojętnie, jakby przeżywał ten problem miesiącami. Andrzejowi Ganderowi, którym był, kiedyś zupełnie nie zależało na prawdomówności dziewczyny, która sprawiała mu rozkosz, jeśli on sam potrafił jej ofiarować przeżycie. Reszta się nie liczyła. Późna zmiana własnego charakteru wcale go nie przerażała.

Za daleko mieszkam od centrum miasta, żeby mi się chciało raz za nią połączyć - myślał leniwie. - Poza tym pogardzam takimi metodami, ale ich nie wykluczam, jeśli zachodzi konieczność.

Było nam dobrze, świetnie, jak było, ale skończył się dla nas pewien etap. Musiałem wyleźć z alkoholu, musiałem się wyleczyć. To była trudna operacja, na nic więcej nie zostawiała miejsca. Lidia była moim lekiem, ale całą resztę, ogromną robotę, musiałem odwalić sam, postępować rozważnie. Jestem zdrowy i muszę rozegrać z nią końcówkę życia. Nie powinna wyobrażać sobie ani przez moment, że jestem naiwny. Daję się w jakikolwiek sposób powodować nawet najcudowniejszej dziewczynie. Zabawa w miłość, jaką sobie wymyśliła, nie może dalej trwać. Cokolwiek kryje się w jej postępowaniu, muszę ją przycisnąć, w przeciwnym razie wszystko przepadnie.

W ten sposób też możesz zepsuć jako tako uładzoną codzienność - szepnęła w nim ostrożność, wygodą, oportunizm. Zgoda na życie, jakie jest, byle bez wstrząsów i urzędzone z pozorem ładu. Za długo jednak żył pozorami. Kosztowały go niemal stoczenie się na dno. Nie chciał wracać do tego samego jeszcze raz. Stary Gander poczuł się po prostu znów młody. Obaj razem za dużo jednak wiedzieli, aby nie zdawać sobie

sprawy, że to, co leczy, może także otruć.

Tym razem to byłby już mój koniec - stwierdził spokojnie. - Nie, Lidia nie zrobi ze mną tego, co zechce. Przeszkodzę jej. Zrobi to, co ja chcę. Tak jest słusznie i dobrze dla nas obojga. Jeśli się ze mną nie zgodzi - trudno, stanę znów przed samotnością, ale ona mnie już nie załatwi. Pokonałem strach i kicham na wodę. Może wyjadę do Włoch? Mam tam sporo przyjaciół. Synowie Christiny są już dorośli. Rozwiodła się z ich ojcem. Stale prosi, żebym dokończył życia w Palermo. Wolałem swoje zapite pałdzierniki w Warszawie. Zawsze będę woleć, ale człowiek nie zawsze może mieć to, co woli, ani to, co lubi. Przeważnie miesza mu z błotem to, co szanuje. Nie ma nad czym płakać. Gdybym był ideologiem, jak Alek, nie tylko artystą, miałbym się czego trzymać, ale ja się mogę najwyżej złapać wiatru. Słodka Lidio, czas zobaczyć, kim jesteś, niezależnie od tego, czy ma się na to ochotę, czy nie.

Westchnął i podniósł się z leżaka. Dotleniony poczuł się lekko i dobrze. Pomogło mu nie tylko czyste powietrze nocy, cisza uspiętego osiedla. Powziął decyzję, która w nim dojrzewała od pewnego czasu. Instynktownie czekał z nią tak długo, aż poczuł się zupełnie zdrowy, zdolny bez hysterii alkoholowej zmierzyć się z rzeczywistością.

Zapalił nocną lampkę i sięgnął po książkę, czytał ni to eseje, ni to pamiętniki Williama Dodge'a. Około piątej rano książka wypadła mu z ręki i znów zasnął, chociaż w pokoju było zupełnie jasno i ptaki głośno wrzeszczały na skwerach. W inne dni właśnie one go budziły.

Zbudził się po raz drugi o ósmej, wziął kąpiel, poszedł na balkon „pogadać” z bluszczem. Rozejrzał się po okolicy, zobaczył, jaki kolor ma niebo, bardzo błękitny, czy za mgiełką. Mgiełka zwiastowała przeważnie ten rodzaj upału, którego nie lubił.

Niebo było czyste. Zrobił sobie wobec tego grzanki w tosterze. Przypiekanie bułki wymagało pewnych zabiegów, na które nie zawsze miał ochotę. Zjechał windą po gazety, przejrział sumiennie prasę, zrobił godzinny spacer. Stwierdził, że dobrze by było mieć psa. Pies zmusza do ruchu. W moim wieku to ważne - myślał. - Utrzymać się w formie, jak długo się da. Nie znoszę starych, zaniedbanych dziadów.

Punkt jedenasta wrócił do domu, bez drżenia ręki i serca wyciągnął z półki książkę telefoniczną. Wyszukał numer Mody na Ordynackiej. Natychmiast ktoś podniósł słuchawkę, odezwał się kobiecy głos.

- Poproszę panią Lidię Kazimierzak - powiedział tak opanowanym i obojętnym tonem, że sam się sobą zachwyił. Nic nie zostało po alkoholowych seansach.

- Basiu! - zawołała kobieta przy telefonie - zobacz, czy Lidka już jest?

- Na bluzkach? - spytała druga kobieta z głębi sklepu.

- Na bluzkach, na bluzkach! - westchnął głos przy telefonie. - Och, ten nowy personel.

Basia wołała z daleka, że Lidka jest „na wolnym”.

- Proszę pana - odezwał się uprzejmy głos w słuchawce. - Panna Kazimierzak ma dzisiaj wolny dzień.

Gander powiedział dziękuję i drętwo położył słuchawkę na widełki. Ulga była tak wielka, że niemal go sparaliżowała. Nie miał pojęcia dlaczego, ale mógłby się założyć, że nikt nigdy nie widział Lidii w Modzie Polskiej, i przegrał.

Głupieję na starość - pomyślał - zaczynam się mylić z powodu dziewczyny. Bardzo źle. To oznacza, że kiepsko ze mną, przestaję widzieć, słyszeć i rozumieć. Niewart jestem sławy, jaką miałem. Skoro jednak Lidia ma wolny dzień, przyjedzie wcześniej. Zasnąłem, nie zdążyliśmy się wczoraj umówić.

Ale Lidia wieczorem nie przyszła. Gander czekał do dziesiątej, siedząc na balkonie z Dodge'em w ręku. Rozkoszował

się lekturą coraz mniej, wreszcie postanowił pójść spać. Dokładnie w tej chwili, w której powziął tę decyzję, sięgnął po klucze i wyszedł z domu.

Na dworze było zupełnie ciemno, łatwo jednak odszukał postój taksówek po tylnych światłach, palących się sznureczkiem, jakby przy chodniku usiadł rząd świetlików. W koronach kasztanów szumiało, szedł wiatr i zmiana pogody. Na drzewach rozwinęły się już wielkie liście.

- Proszę na Marchlewskiego - powiedział do kierowcy. - Marchlewskiego sto dwanaście.

- Nowe bloki? - zapytał machinalnie taksówkarz.

- Chyba. Nie wiem - roześmiał się Gander. Nawet tyle nie wiedział, tak bardzo walczył ze sobą przez ubiegły rok. Tak silnie pragnął wrócić do życia, że eliminował wszystko, co było do tego celu przydatne.

Jechali prawie przez całe miasto, z jednego krańca na drugi. Ze Służewca w stronę Woli. Nieoczekiwany, wieczorny przegląd Warszawy sprawił mu przyjemność. Lunął krótki, majowy deszcz, oczyszczający jezdnie, domy, chodniki, powietrze nad miastem. Mocniej zalśniły neony i Andrzej poczuł ni stąd, ni zowąd, jak mocno jest związany z tym miastem. Tu uwięzło i przepadło całe życie. Tutaj próbował je odtworzyć na nowo z niczego. Naprawdę, tutaj chciał umrzeć, znaleźć nareszcie spokój.

- Proszę pana - mówił kierowca drugi raz - sto dwanaście!

- Aha, przepraszam - ocknął się. Sięgnął do kieszeni. - Dziękuję - powiedział.

Bloki stały w sposób irytujący ludzi starej daty - frontonami do ulicy. Z siecią wejść od tyłu. Ludzie starzy biegają wokół takich domów jak owady, które straciły poczucie kierunku.

Odszukał klatkę „E” bardzo dobrze zaznaczoną. Nie musiał się wcale biedzić. Dopiero na schodach zaczęły się kłopoty, bo światło było zepsute i lista lokatorów tonęła w ciemnościach.

Nigdy nie palił. Śpiewak dużej klasy musi raz na zawsze zrezygnować z nikotyny. Nie miał przeto zwyczaju noszenia ze sobą zapalek. Zacisnął zęby, opanowanym krokiem wrócił na ulicę, kupił w narożnym „Ruchu” zapalki.

Nazwisko Lidii widniało pod numerem siódmym, jak miał zapisane. Oparł się o ścianę na klatce, poczuł się niemal słabo. Nigdy, przez całe dotychczasowe życie tak sobą nie pogardzał. Nisko upadłem - pomyślał. - Chłopie, co się z tobą dzieje? Opanuj się i zmywaj się z tego domu, z obcej dzielnicy. Nie wchodź nigdy do nikogo na siłę, jak dotąd nie wchodziłeś. Szanuj cudze życie. Zawsze żądałeś, żeby szanowano twoje. Nie wolno tracić ciężko wypracowanej mądrości. Zachowuję się jak dureń. Chcę nachodzić kobietę, szpiegować ją. Wymagać więcej, niż mi dawała. Dała mi i tak nieskończenie wiele. Wszystko!

Oderwał się z trudem od ściany, naraz całkowicie wolny od siebie, od swego szaleństwa, wyszedł po raz wtóry na ulicę. Na pobliskim postoju stała jeszcze taksówka, którą przyjechał. Wsiadł w nią z przyjemnością.

- Z powrotem poproszę - powiedział z ulgą, jaka zawsze ogarnia człowieka, gdy zwycięży w sobie coś paskudnego.

Kierowca nawet się nie obejrzał.

Rozdział 16

Alek siedział przy lustrze w garderobie Anny Kastor i szczerze jej żałował, chociaż w teatrach operowych upłynęło mu całe życie i był przyzwyczajony do ciężkiej pracy, jaka tutaj obowiązywała. Z bliska nic nie zostało z fruwającego po

scenie białego ptaka. Pierś Anette unosiła się i opadała z wysileniem, krople potu spływały z czoła i wzdłuż nosa, żłobiąc bruzdy w grubo nałożonej szmince.

- Prędeż, Kaziu - wołała Anette - podaj mi gazę. Nie mam dziś czasu robić sobie od nowa policzków. - Przyłożyła płatki gazy do twarzy, uśmiechając się.

- Maski tancerki to całkiem coś innego niż twoja charakteryzacja, co? Alek? - Spojrzał w nagle zapadnięte, palące się nienaturalnym światłem oczy. Jakby zapuściła w nie atropiny.

Zmęczenie - pomyślał - podniecenie? Jest wyczerpana. To bezwzględnie napadać na nią w czasie spektaklu, a jednak zrobić to.

Zaśmiała się.

- Masz jakąś grubszą sprawę do mnie, prawda? Martwisz się. Widzę to. Ale nie przejmuj się, przejdzie mi. Zaraz przyjdę do siebie. To minuty. Wiesz to równie dobrze, jak ja. Mam akurat dobry moment. Wychodzę na scenę dopiero pod koniec drugiego aktu. Mnóstwo czasu. No, jedź, Alek, z czym przyszedłeś.

Mówiła i ostrożnie osuszała twarz. Włączyła wentylatorek stojący na toalecie. Dosięgną! go miły chłodek. Nawet jej obnażone nogi były w tej chwili tak dalece narzędziem pracy, że kobiecość schodziła na ostatni plan. Wraciła bardzo szybko do siebie, cienie znikały spod oczu.

Mój Boże - pomyślał - teatr od zaplecza wygląda zupełnie inaczej, niż widz sobie wyobraża. Byłoby dobrze, gdyby mógł od czasu do czasu przyjrzeć się zawodowi aktora.

- Spodziewam się, że przyszedłeś z powodu mego nieodżałowanego Andrzeja - odezwała się Anette pierwsza. - Nie zapomnę go nigdy. Jeśli coś w jego desperacji było nie w porządku, nie daruję - powiedziała bez nacisku, ale w taki sposób, że Alek jej uwierzył.

- Raczej nie mów tego tak serio, Anette - zauważył delikatnie.

- Dlaczego? - rzuciła lakonicznie.

Nie odpowiedział. To znaczy, mógł to zrobić łatwo, ale nie chciał.

- Zwalniasz mnie sama od nieprzyjemnych pytań - zauważył.

- Mnie to nie peszy, Alek. Nie robi mi żadnej różnicy. Tyś mnie już raz pytał, czy w ostatnich latach widywałam się z Andrzejem. Ale ja ci powiedziałam tylko pół prawdy. Skąd wiedziałeś, że cię zbyłam? Na początku nie przykładałam wagi do takich pytań. Człowiekowi może się znudzić życie. Zwłaszcza jeśli było zbyt pełne napięć. Za bardzo przeżywane. Wiem, i ty wiesz, o co tu chodzi. Może dlatego przyjąłm zakończenie życia Andrzeja bez zbędnych żalów. To są tak zwane krokodyle łzy. Ale jeżeli ty uważasz, że ktoś dopomógł Andrzejowi do zamknięcia konta, to zmienia sprawę.

- Być może - mruknął Alek. - Nie wykluczam tego.

- Kiedy go ostatni raz widziałam, był w cudownej formie i obiecaliśmy sobie, że nikomu w Operze o tym nie wspomnę. - Wzruszyła ramionami. - Teatr to nasz własny świątek. Kochamy się i nie cierpimy. Pragniemy dla siebie sukcesów i umieramy z zawiści. Andrzej od nas odszedł, nie chciał wracać. Nie mógł już śpiewać i miał rację. Prosiłam go wtedy, żeby mnie odwiedził. Mój Boże - zaśmiała się - miałam jeszcze nadzieję, że go przy sobie zatrzymam. Kiedyś, przed laty, spędziłam z nim tydzień w pensjonacie „Jutrzenka”. Czy możesz sobie wyobrazić większe głupstwo? To było na linii Skolimowskiej. - Zapatrzyła się w lustro, ale s i e b i e w nim nie widziała. - Już nie egzystuje pewnie ten pensjonat. Po co miałby istnieć? W życiu nie byłam szczęśliwszą dziewczyną ani kobietą niż wtedy.

Ciepło jej rozgrzanego jeszcze występem ciała dotarło do

Alka. Poczul nagłe zapach szminek, pudrów, kobiecej garderoby. Wiedział, co przyciągało i przyciąga do niej mężczyzn. Anette należała do kobiet niezwykłych, nieprzeciętnych, ale żyjących krótko w wyobraźni, chociaż bardzo bujnie, mocą swej osobowości.

- Można tylko zazdrościć Ganderowi - powiedział bez kontroli tak, jakby Andrzej żył.

Jego odezwanie wywarło na Anette wprost odwrotny skutek, niż mógłby się spodziewać.

- Tak sądzisz? - zapytała, ciągle przebywając bardzo daleko od miejsca, w którym się znajdowali. - Otóż, mylisz się. Nie chciał mnie. Może on właśnie zrobił ze mnie tancerkę? Może inni, którzy traktowali moje ciało tylko jak narzędzie wyrażające muzykę w sposób najbardziej doskonały, trafny, sprawny technicznie. Nie wiem.

- Ty się spalasz na scenie, Anette. Jesteś naprawdę tancerką. Nie spotkałem wielu takich, jak ty, a przecież wiem dosyć o naszym zawodzie i niejedno w życiu widziałem.

- Uważasz tak naprawdę? - zastanowiła się, zwróciła na niego spojrzenie. - Dziękuję ci.

- Nie ma za co. To tylko prawda - rzucił lakonicznie.

- Spotkałam Andrzeja w „Marzence”. W kawiarence na osiedlu, gdzie mieszkał. Diabeł by tam nie trafił. Ale kobieta trafi, gdy chce się ukryć. Przyszedł sam na kawę, ale jej nie wypił - zaśmiała się znów - wypłoszyłam go. Nie chciał wiedzieć, z kim się umówiłam na końcu świata. To było bardzo ładne z jego strony. Szczególnie, że akurat czekałam na wspólnego znajomego i byłoby nam wszystkim głupio. - Ożywiła się. - Andrzej miał w tych sprawach siódmy zmysł. Nie popełniał błędów, gdy chodziło o miłość, małą, dużą, ważną, przelotną, nieważną. Mam rację? - Alek milczał. - Ach, jak on znakomicie wyglądał. Pamiętasz, w naszym światku mówiło się akurat, że Gander zapił się na śmierć. Skończył. Zobaczyłam mężczyznę pełnego energii, uśmiechniętego. Jakaż byłam

zadowolona. Miał wtedy dziewczynę, tak - powiedziała nagle poważniejąc. - Przyznał się. Nie wiem, kto to był. Nie pytamy o ludzi, którzy chcą pozostać w ukryciu. Albo takich, których chcemy mieć wyłącznie dla siebie. Jasne?

- Nie wiesz, ile ta dziewczyna mogła mieć lat? Nic? - spytał trochę bezradnie.

- Nie.

- Widziałaś go z kimś w samochodzie? Prawda? Kiedy? Przed spotkaniem w kawiarni? Po?

- Zaraz - zastanowiła się Anette - oczywiście po spotkaniu w „Marzence”. Akurat krótko przed jej śmiercią.

- Gdzie to było?

- Na Świętokrzyskiej. Gdzieś pośrodku Świętokrzyskiej. Między Nowym Światem a Marszałkowską. Pod światłami.

- Jeżeli stali przy krawężniku, musiałaś widzieć, z kim jechał? - naciskał Alek.

- Owszem. Ale akurat ruszali. Wóz prowadziła dziewczyna. Jedno, co wiem na pewno, była dobrze ubrana. My zawsze zwrócimy na to uwagę. Miała ładne włosy, świeciło słońce, duże ciemne okulary. Teraz wszędzie przy skrzyżowaniu trzeba szybko ruszać, inaczej robi się korek. Fiat ma zryw. Tylko kurz za nimi poszedł.

- Jaki miała kolor włosów?

- Ogólnie biorąc, szatynka, chyba kasztanowe. Ale wiesz, że to żadna wskazówka. Dziś jestem blondynką, nie wiem, jaki kolor wybiorę na zimę. Będzie zależał od roli.

- To była młoda kobieta?

- Owszem. Młoda.

- Możemy założyć, że to była ta sama dziewczyna, która pomogła Andrzejowi wyjść z impasu.

- Wszystko można założyć - zaprotestowała żywiej Anette. - Ale Andrzej nie wyglądał na zajętego tą kobietą. Siedział sztywno jak przypadkowy pasażer. Znałam go. Jeśli był zajęty kobietą, nie dawał jej sekundy spokoju od siebie.

Musiał b y ć w życiu tej kobiety. W łazience, w pracy, w samochodzie... och, przecież pamiętasz.

- No, miał takie usposobienie. Z tego jednak, cośmy sobie tu powiedzieli, wynika jedno, ktoś istniał w życiu Andrzeja, przypuszczalnie przez ostatnie dwa lata. Nie znamy go. Jak dotąd.

- I wątpię, żebyśmy go poznali, Alek.

- Ee, tam, Anette - uśmiechnął się Alek. - Nie mów mi takich rzeczy. I komu? Do wszystkiego dojdiesz, jeśli zechcesz. Wojna mnie tego nauczyła. Byłaś w pierwszym akcie cudowna - powiedział tak, jakby o niczym poważnym nie rozmawiali ze sobą. - Zostanę na trzecim tylko dla ciebie.

- Nie przesadzaj, ty pochlebco! - uśmieknęła się prima-balerina.

- Nie - zaprzeczył Alek bez pozy. - Nie ma w tym przesady, Anette. Popraw sobie lewe oko. Nie myśl już o Andrzeju, zaraz idziesz na scenę. Bodaj przez chwilę trzeba się wyłączyć. No, Anette, zberz się do kupy.

Wyszedł do hallu, wszyscy się za nim oglądali i sprawiło mu to ogromną przyjemność. Nadal był sławny i modny, ciągle jeszcze atrakcyjny. Wiedział to, ale lubił od czasu do czasu sprawdzić.

Rozdział 17

Lidka pomyślała, że potrzebowała i potrzebuje intymności, jaką Jo potrafi wokół siebie stworzyć. Przypominało to stary dom, rodzinne miasto. Było swojskie i dobrze znane.

Jowanka właśnie leżała na tapczanie Lidki, zdjęta spódnice, żeby się lepiej wytarzać. Jej niebywale długie nogi w rajstopach wyglądały bajecznie i nawet kobieta musiała to widzieć.

- Tyś powinna iść do filmu, Jo - zauważyła całkiem serio Lidka. Jowanka zachłannie zaciągnęła się carmenem. Nie roześmiała się jak zawsze, nie zażartowała, nie próbowała naciągać Lidki. Wyglądała, jakby nosiła się z jakąś nękającą zmurą.

- Jo? - zauważyła Lidka. - Masz coś na wątrobie dzisiaj?

- Dlaczego tak myślisz? - zaciekała się Jowanka objętnie.

- Nie masz humoru, przebywasz nie wiadomo gdzie - wyliczała Lidka - niczym nie można cię rozśmieszyć, nie interesujesz się moim chłopcem. Nie naciskasz mnie o termin ślubu...

- Ale mieszkanie ci zrobiłam - przypomniała Jowanka zaczepnie. - Może nie? Półki w łazience, szafki, wszystko na różowo. Kuchnia żółta, pokój też... właściwie to złoty kolor, zauważyłaś? Pewnie nie! Rany, jak ja się wyklócałam z twoim malarzem-idiotą. A tyś sobie układała na półkach w Modzie importowane bluzki. Skąd wytrzasnęłaś tego malarza, Lidka? On po pierwszej wojnie światowej malował sutereny na „seledenek z garkomelkiem”. Drugą wojnę przespał.

- Ale tani - przerwała sucho Lidka.

- Ojej - jęknęła Jowanka - taniość też ma granice.

- Wymalował ci, co chciałaś! - zaśmiała się Lidka.

- Ci, ci! Pewnie. Niechby ktoś spróbował nie zrobić czegoś, czego ja chcę.

Lidia przysiadła się do Jowanki.

- Słuchaj no, Jo, nie opowiadaj mi o mieszkaniu, dobra? - zaproponowała. - Zrobiłaś je na medal, wiesz sama. Mów, co ci jest? - zażądała.

- Sławek stoi ze statkiem w Hong Kongu - powiedziała Jowanka ponuro.

- Dostałaś list? - podskoczyła Lidka. - Cudownie! Narzeczcie.

- Przestań! - wściekła się ni stąd ni zowąd Jo. - Psiakrew, więcej jak rok minął. Drugie Boże Narodzenie idzie. Listopad. Jakby ktoś w mordę strzelił.

Lidia nagle ucichła. Złość Jowanki była niebezpieczna i nie wiadomo skąd się wzięła. Lidka wstała z tapczanu i odeszła w głąb pokoju.

- Nareszcie wiesz, co się z nim dzieje - powiedziała cicho, nie mniej stanowczo. - Kiedy statek wraca do Gdyni?

- Cholera - zaklęła Jowanka - nie wiedzą. Sławek pisze, że może za trzy miesiące, a może w następnym roku. Mogą ich puścić z powrotem w kurs między zagranicznymi portami, a nie z towarem dla Polski. Co będzie więcej opłacalne. Nikomu nie przychodzi tylko do głowy, że moje życie tutaj robi się nieopłacalne.

- Daj spokój, Jo.

- Z jakiego powodu?! Wiesz przecież, jak żyję. Chyba gorzej niż w klasztorze. Tam przynajmniej wiadomo, o co chodzi. Ja żyję nienormalnie wśród ludzi żyjących normalnie. Nieraz o tym mówiłyśmy, więc czego nagle każesz mi milczeć. Jestem widzem. Najwyżej statystuję. Na przykład tobie. Tym razem boję się powrotu Sławka. Pierwszy raz zdaje mi się, że nie chcę go już wcale oglądać. I będę musiała. Rozumiesz?

Coś się w Jowance zepsuło - pomyślała Lidka trafnie - straciła zimną krew, opanowanie.

- Rozwiedź się - poradziła w nagłym olśnieniu – póki nie jest za późno. - Była pewna, że ma rację. Tym razem jest mądrzejsza od mądrej Jo.

Jowanka roześmiała się hałaśliwie, sztucznie.

- Od pierwszej chwili było za późno, Lidio! Wiesz, co to latami pływać w tropikach? Trzymać w garści załogę? Odpowiadać za statek? Godnie reprezentować, jak się tego wymaga od kapitana. Masz pojęcie, co to dla niego zejść nareszcie

w kraju na ląd, przyjechać do własnego domu? Do mnie?

Nie sądziłam nigdy, że Jo jest zdolna tyle zrozumieć z goś drugiego - myślała Lidka, przyglądając się przyjaciółce.

- On jest jednym z najlepszych kapitanów naszej marynarki handlowej. Cenią go, szanują, przypinają mu ordery. Liczą się z nim - krzyczała niemal Jowanka w podnieceniu. - Nikt nie ma pojęcia o jego jedynej słabości - o mnie! Mogę go prowadzić w karierze albo zmarnować. Nie wolno mi zrobić mu żadnego kawału, nigdy. Na Sławka się stawia, on coś znaczy dla naszego morza. Ja się tu nie liczę. Nigdy się nie liczyłam. Ja tylko musiałam to zrozumieć.

Lidkę ogarnęła nagła czułość. Jowanka też była słabością Lidii. W niej siedziało coś takiego, że można ją było kochać na umór przy różnych wadach i wtedy, gdy się je na pamięć znało.

To wszystko źle się kiedyś skończy dla Jo - pomyślała Lidka w sekundzie jasnowidzenia i ścisnęło jej się serce. - Jo była zawsze dziewczyną z temperamentem. Już jako smarkata wodziła rej w szkole. Jej życie musi być teraz pasmem okropnych nocy, w dzień wyszukuje sobie zajęcia. Pomaga znajomym, urządziła mi mieszkanie. Jak wyjść z takiego dylematu? Nie umiem jej pomóc - skapitulowała Lidka.

- Pójdę już - rzuciła Jowanka zgaszonym głosem - zniechęciłam listonosza, wiesz? Dawniej czekałam na list jak dziecko na lizaka. Aż zniechęciłam kroki tego człowieka. Nie mam siły stanąć przed Sławkiem po dwóch latach - jęknęła Jowanka - on będzie mnie znów nosić po całym domu na rękach. On mnie naprawdę nosi. Na początku tak mi się to podobało, że piszczałam ze szczęścia. Jaki chłopak, jaki mężczyzna zrobi dzisiaj coś podobnego? I te jego oczy, jak u dużego dzieciaka. Ja teraz wiem, że on przez to niczego nie rozumie. Sławek jest taki, psiakrew, jakby się urodził sto lat temu. Będzie mnie znów zasypywał prezentami, będzie kleczał przy łóżku. Przez kilka dni zapełnia sobą mieszkanie, jak

żaden mężczyzna nie potrafi. Nie ma nawet o tym pojęcia i nagle znika. Nie! - krzyknęła ze sprzeciwem - nie mogę tego ciągnąć.

Więc co ty możesz - zapytała siebie Lidia, zdając sobie sprawę, że nie ma odpowiedzi na takie pytania.

- Jowanka, on nie musi wiedzieć - mruknęła i słowo uwięzło jej w gardle.

- Ty to mówisz? - zaśmiała się nieprzyjemnie Jo - ty, co przez półtora roku nie pokazałaś mi swego chłopaka? Już się nawet o niego nie pytam. Zobaczysz, wcale nie przyjdę na wasz ślub.

- Przyjdiesz, przyjdiesz - powiedziała z przekonaniem Lidka. - Mężczyźni nie wszystko muszą o nas wiedzieć - potwórzyła odważnie i z przekonaniem.

- Jacy mężczyźni? - zaśmiała się Jo - byle kto, prawda? Nie musi. Masz rację. Byle kto może nie wiedzieć. Sławek będzie wiedział. Zaraz i sam. Ja bym tego nie zniosła. Nie wytrzymała. Nigdy nie będę oglądać jego klęski, katastrofy. Nigdy, rozumiesz?! Sławek złamany to tak, jakby mnie ktoś przetrzącił kijem nogi. Mogę go przestać kochać, mogę nawet odejść, ale nie przestanę go szanować. Wiesz dlaczego? Bo jest tego wart. Zasluguje na to. Ja mogę być byle kim, on nie będzie o tym wiedział.

Jowanka zatrzęsała się cała i Lidka przestraszyła się, że nerwy w Jo wysiadają. Przecież nie pośle jej do lekarza. Na co by się to zdało? Dostałaby znów relanium albo coś innego.

- Jowanka, skocz sobie do Zakopanego albo gdzieś z Orbisem. Nie za daleko, ale przyjemnie, co?

- Po co? - spytała brutalnie Jo. - I męczyć się jeszcze bardziej. Sama tam, gdzie jest pięknie i gdzie ludzie chcą być we dwoje. Lubią razem łązić, oglądać i kłaść się spać we dwoje. Chcą się na przykład trzymać za ręce, patrząc na góry albo na morze. Słyszałaś o czymś takim? - zadrwiła Jowanka.

Lidka była trochę niższa, wspięła się więc na palce i pocałowała Jo na do widzenia w policzek.

Rozdział 18

Kolankowski minął wieszaki z sukniami, kostiumy, płaszcze, przymierzalnie, dotarł na zaplecze salonu.

Kierowniczką okazała się sympatyczną osobą, nie robiła problemu z byle czego, zawołała Lidię Kazimierzak i zajęła się stoiskami z drobną galanterią.

Jeden rzut oka na dziewczynę wystarczył Kolankowskiemu, aby się przekonać, że będzie miał przeprawę, jakiej nie cierpiał.

- Bardzo panią przepraszam - wyjąkał - ale...
- Nigdy nie myślałam, że będę nagabywana przez milicję! - zawołała Lidka o oburzeniem. Niechęć zamieniała się u niej w agresję. Patrzyła ponuro, nieprzychylnie.
- Proszę pani, ja przyszedłem prosić panią tylko o pomoc.
- Aha! Psuć mi opinię w pracy - powiedziała mniej gwałtownie, ale ze znanym przyjaciołom uporem i sprzeciwem.
- Kierowniczką wie, że to my panią prosimy, nie...
- Niech pan nie opowiada takich rzeczy! Milicja chodzi do ludzi podejrzanym.

Westchnął w duchu. Nie wybierał się na rozmowy z ludźmi nie zebrawszy bliższych informacji. Wiedział, że to dziewczyna ze Skarżyska, z solidnej, rzemieślniczej rodziny, bardzo tradycyjnej. Miała niewzruszone poglądy na sprawy w komisarzatach i sądach.

- Proszę pani - powiedział błagalnie - niech pani na chwilę przestanie myśleć o sobie, dobrze? - Strzelił celnie, dotarło. - Pani kiedyś zamieściła ofertę w „Kajusie”? - Nie próbował już wybiegów, działał wprost. Dawno pracował,

znał się na ludziach. Od pierwszego spojrzenia wiedział, że ona nie da się ugłaskać i szkoda na to czasu. Znów ogarnęła ją ponura pasja.

- Zamieściłam. No to i co?

- W tym samym czasie złożył ofertę Andrzej Gander.

- Bardzo się cieszę. Nie znam żadnego Gandera!

- Nie żyje. Nie czytała pani w prasie? Słynny śpiewak operowy. Miał wspaniały pogrzeb.

- Aha - domyśliła się łagodniejąc - już wiem. Zabił się, czy tak?

- Tak. Czy pani nie poznała się z nim z oferty?

- Co też pan! - wykrzyknęła. - Ja i aktor! Śpiewak - roześmiała się - sława. Człowiek znany w całej Europie. Dobrze sobie. - Kolankowski znów westchnął w duchu i poprosił swoją mamę o cierpliwość.

- Więc pani nie zainteresowała się jego ofertą?

Przyglądała się dręczącemu ją człowiekowi, nic nie rozumiejąc.

- Nie. Skąd miałam wiedzieć, że on tam jest? No, niech pan sam powie?

- Z oferty. Rzeczywiście - zauważył przytomnie - ale jeśli nawiązała pani z nim korespondencję, ludzie na ogół podpisują listy. Może mi pani nie odpowiadać, jeśli pani nie chce, to są pani prywatne sprawy, ale czy pani wówczas kogoś w ogóle wybrała?

Namyślała się, odwróciła się do okna, wychodzącego na zaplecze sklepu.

- Tak - powiedziała już spokojniej - zaczynam rozumieć. Wiem, mogę nie odpowiadać, ale powiem. Poznałam. Chodzę z nim już dwa lata i na Boże Narodzenie będzie nasz ślub. Wolabym, żeby nikt się nie dowiedział, jaką drogą poznałam swego męża.

- Zupełnie jasne - uśmiechnął się. - Mnie to nawet nie interesuje, jak się ten pan nazywa. Czy to panią zadowala?

- Tak.
- Mnie interesuje, czy pani od razu wybrała swego obecnego narzeczonego?

- Prawdę mówiąc, wybrałam dwie oferty. Ten z drugiej nie przyszedł, chociaż odpisał mi na list i nawet podał telefon. Wcale się nie zdziwiłam. Przy czymś takim człowiek może się rozmyślić, stracić odwagę albo wcześniej spotkać się z kimś innym i właśnie jego wybrać, prawda?

Nareszcie rozmawiała jak normalny człowiek, co ułatwiało pracę, ale miał uczucie, że odwalił tonę węgla. Niech licho weźmie Kordę, myślał, nie może odcepić się od Gandera, a przecież sprawa jest prosta.

- Czy pani przypomina sobie numer tamtej oferty?

Może numer telefonu? Jakim nazwiskiem był podpisany list? Proszę sobie przypomnieć. Musiał podać nazwisko, jeśli oczekiwał pani telefonu.

Nie zdążył skończyć, dziewczyna zrobiła się biała i gdyby jej w porę nie złapał, byłaby upadła na podłogę.

Miałbym gips - myślał - nalewając drżącymi rękami wody z syfonu.

- Niech się pani napije - wybełkotał - nie trzeba mdleć. W pani interesie. Po co robić taki szum w salonie.

Zrozumiała, że chodzi o nią. Prosiła go o to na wstępie i wzięła się w garść, jak potrafiła. Zęby dzwoniły jej o szklanke, ale piła posłusznie i nie spadała z krzesła, co świadczyło o poprawie sytuacji.

- No, lepiej? - pytał się troskliwie jak niańka - dlaczego pani zaraz mdleje - gderał - czy można z byle czego zrobić taką awanturę?

- Ładne byle co! - wymówiła z trudem - mam list Andrzeja Gandera. Jak mogłam zapomnieć jego nazwisko! Jak mogłam sobie tego od razu nie skojarzyć, gdy pan wspomniał o wypadku. Mój Boże, zrobiłabym karierę. Byłam o krok od... od... Panie Boże, jestem idiotką. Nawet nie wiedziałam, kto to

taki - Gander. Dopiero teraz artykuły pośmiertne w gazetach. Byłabym kimś!

Nikim - stwierdził w duchu - los cię ustrzegł od kłopotów. Masz szczęście, dziewczyno, jeśli rzeczywiście jesteś w tym całym interesie czysta.

- Chciałaby pani przeżyć coś takiego? - wzruszył ramionami. - Rzeczywiście?

Czuła się lepiej i nabierała pewności siebie.

- Mam też schowaną jego ofertę. Dwie oferty i obydwa listy. Mego narzeczonego i jego. Na pamiętkę. List i oferta musi leżeć w pudełku. U mnie w domu. Proszę pana - zawołała odkrywczo - pomogę panu!

W czym - pomyślał - przypuszczalnie wszystko już jest jasne. Znow staniemy na martwym punkcie. Masz list, masz ofertę i koniec. Jesteś chyba zbyt uczciwa, żeby coś wykombinować, wyciąć jakiś numer, chociaż nie takie pierwsze naiwne już człowiek widywał. Niejedna w mojej praktyce mdłała, nic sobie nie przypominała, a później włos się człowiekowi jeżył na głowie, co potrafiła zrobić.

- Kiedy mam panu doręczyć te listy? - spytała panna Kazimierzak.

- Ma pani wóz? - zahaczył od niechcenia.

Roześmiała się pierwszy raz. Wzruszyła ramionami.

- Może będziemy kiedyś mieć.

- Niech pani wyśle papierki na moje nazwisko do Komendy - powiedział. - Może się przydadzą. Poleconym - przypomniał. - Już się pani na mnie nie gniewa?

- Nie. Przepraszam pana - wstała z krzesła - nie mogę przyjść do siebie. Człowiek otrze się o taką historię i nawet nie wie, że się otarł. Wyciąga sweterki z półek i chowa, składa i rozkłada przez cały dzień, do siódmych potów, już potem o niczym nie może myśleć, tylko o kolorach, rękawkach, wykrojach dekolców. Import z Włoch czy z Wiednia, z Paryża, och! Gdyby nie pan, pewnie sama nigdy nie doszłabym, że Andrzej

Gander i człowiek z mojej oferty, z mojego listu, to jedna i ta sama osoba. Jakiś koszmar.

Dlaczego nie przyszedł na spotkanie z tą dziewczyną - pomyślał na ulicy. - Dlaczego ją spławił? Ach, niech się tym teraz martwi Korda. Przynoszę mu potwierdzenie, że Gander szukał znajomości przez „Kajusa”. A może nie poszedł na żadne spotkanie? Nie traktował ofert serio? W jaki sposób jednak wyciągnął się z wódki? Już sobie powiedziałem, niech się Korda martwi Ganderem. Ja nie jestem od myślenia, tylko od zbierania informacji.

Nazajutrz dostał w poczcie polecony od Lidii. Bardzo się pospieszyła. Widocznie historia sławnego człowieka, w którą była nieświadomie zaplątana, wstrząsnęła dziewczyną.

W kopercie znajdował się tylko list Gandera, brakowało obiecanej oferty. Kolankowski przebiegł wzrokiem ładne pismo Gandera. List był krótki, poprawny, raczej informujący, bez ozdobników. Jak dotąd, Andrzej Gander nie sprawiał nikomu zawodu.

Nadawca podawał w liście numer swojej oferty, numer telefonu domowego. Pisał, że będzie w piątek o dziewiętnastej w „Hortexie” z książką Parandowskiego w ręku. Miała to być „Godzina śródziemnomorska”. Kartka była u góry oznaczona datą sprzed dwóch lat.

Kolankowski odłożył list i zabrał się do czytania kartki od Lidii.

„Przepraszam - pisała dziewczyna - nie mam pojęcia, gdzie zapodziała się oferta, ale list na pewno wystarczy. Ofertę ma bez wątplenia «Kajus». Z tym nie będzie kłopotu.”

Kolankowski złożył oba listy i podążył szybciotko do szefa. Korda rzucił okiem na pismo Lidii, kazał sobie natychmiast przynieść akta Gandera. Wyciągnął z nich ofertę, którą Zygmunt znalazł w mieszkaniu śpiewaka.

- Jedźcie zaraz do Lidii Kazimierzak i pokażcie jej tę ofertę. Widzicie? Trzynastka jest zakreślona kółkiem, czerwonym

długopisem: Tutaj, na dole jest zrobiona ręczna adnotacja: Piątek, godz. 19. Pokażcie jej ofertę i ustalcie, czy ona to pisała.

- Szefie - wybąkał Kolankowski - jeśli poczyną sobie na dwa fronty, chciała mieć dwóch narzeczonych, to my ją...

- Nie bójcie się. W takim wypadku też ją przyskrzynimy. Jedźcie.

Zaczynali się zbliżać ku końcowi sprawy.

Rozdział 19

Zima była gorszym okresem w życiu Andrzeja. Nie można było wyjść na balkon, posiedzieć w ciszy na leżaku, pogapić się w gwiazdy. Brakowało mu obserwacji, jak żyje, bluszcz, dokąd wędruje, obowiązku przycinania wąsatych witek. W zimie nie można się było zabawić w ogrodnika, przechadzać się po balkonie z nożycami w ręku, pilnować cieniutkich rurczek, doprowadzających wodę w rowki ściekowe.

Za to Boże Narodzenie zrobili sobie z Lidką uroczę, tylko we dwoje.

Było to pierwsze Boże Narodzenie od lat, w czasie którego odnalazł dawne, dobre czasy, gdy drzewko pachniało igliwem, ciepło zdawało się rozsadzać ściany i ktokolwiek był w domu, czuł się uroczyście.

- Popatrz, popatrz, Lidio - mówił - ubrałem się nawet w czarny garnitur i dziś napiję się wina. Z tobą..

Wysączyli całą butelkę i ani wigilijnego wieczoru, ani przez świąteczne dni nie czuł żadnego pragnienia.

Sylwestra spędzili w „Kamieniołomach” przy dwuosobowym stoliku, Andrzej zaprosił Lidię na parkiet. Idąc za nią miał chłopięcego pietra, czy podoła zadaniu, jakby nie wiedział, że ten, kto kiedykolwiek śpiewał i tańczył, nie zapomina tej sztuki do setnych urodzin.

- Andrzej, jak ty tańczysz! - zawołała natychmiast oczarowana Lidka.

Wróciła mu pewność siebie i bawili się jak smarkacze do białego rana. Nawet serce nie zabiło mu szybciej, był rzeczywiście w świetnej formie.

- To niesłychane! - mówił zdumiony - znów chce mi się tańczyć. Ty wiesz, Lidka, ile już lat nie wychodziłem na parkiet? Chyba od czterdziestki.

- Dlaczego? - zdziwiła się Lidka. - Czy... czy twoja żona nie lubiła tańczyć?

- Ależ tak, dziecinko, piekielnie lubiła! Za bardzo, i przypuszczalnie ja dlatego przestałem lubić. Proste. Wszystkie kobiety, jakie znałem, lubiły tańczyć, a ja coraz bardziej nie lubiłem.

- Dlaczego? - zdumiała się powtórnie. - Uważasz, że taniec to coś złego?

- Przeciwnie, dziecinko - zaśmiał się Gander - taniec jest cudowną sprawą między ludźmi. Między dwojgiem. Taniec to sex, Lidio. Czyżbyś tego nie wiedziała? - patrzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Prawdę mówiąc, nie - wyznała. - Lubię taniec dla tańca. Zawsze tylko tak tańczyłam.

- Zdawało ci się, dziecinko. Zaraz ci to udowodnię. Z każdym tańczysz jednakowo? Tak jak ze mną?

- Nno, nie! - zaśmiała się.

- Aha! Jedźmy dalej, to znaczy, że nie każdy taniec sprawiał ci jednakową przyjemność?

- Nno, tak. Powiedzmy. - Stawała się ostrożna. Rozbawiło to niesłychanie Andrzeja.

- Widzisz, dziecinko! Na ogół tańczymy z tymi, z którymi taniec sprawia nam przyjemność, a ponieważ to niekoniecznie musi być mąż albo przyjaciel, z biegiem lat mężowie i przyjaciele tracą chęć do tańca.

Odsunęła się od niego na odległość ręki, powodując małe zamieszanie na ciasnym parkiecie.

- Ty jesteś straszny, Andrzej! Nie miałam o tym pojęcia.
- Być może, dziecińko - rzucił lakonicznie. Lidia zrozumiała, że kryje się za tym ostrzeżenie również i dla niej. Straciłaby humor, gdyby nie miała od zawsze przekonania, że w Sylwestra trzeba się dobrze bawić, nie pozwolić sobie zepsuć nocy ani psuć jej innym. Z Andrzejem zresztą tańczyło się znakomicie, nie miała dotąd wyobrażenia o podobnym partnerze. Trudno obrazić się na kogoś, kto sprawia przyjemność.
- Będę zawsze pamiętać tego Sylwestra - powiedziała.
- To dobrze, dziecińko. Cieszę się - odpowiedział szczerze.

Czasem miała wrażenie, że on jest, ze względu na swoje dawne życie i przez nie, zawsze o milę od niej. W żadnej sprawie nie mogli znaleźć się razem, choćby nie wiadomo jak usilnie tego pragnęli. To onieśmiało, ale ani on, ani Lidia nie mieli na to rady. Wyglądało to tak, jakby się mijali ze sobą i zdawało im się, że łapią powietrze.

Być durniem, źle - myślał - za dużo wiedzieć, niedobrze. Za późno ją znalazłem, ale trzeba sprowadzić ten dystans do możliwie małych rozmiarów. Och, jak człowiek musi się męczyć przez całe życie, jeśli nie chce być sam jak kołek w płocie.

Nie chciał, nie ulegało wątpliwości. Nawet zima go drażniła, bo nie można było przesiadywać na balkonie i patrzeć na Lidię, krzątającą się po pokoju. Gdy niosła dla niego kawę, uważała na każdy krok, zagryzała wargę, żeby nie zalać spodeczków pod filizankami, bo Andrzej tego nie znośli.

Pół śniąc, pół żyjąc przemyczał się przez zimę, mało wychodził z domu, zawsze na nią czekał. Nie miał absolutnie nic do roboty.

Od nowego roku akademickiego przyjmę propozycję Ministerstwa - pomyślał jakiegoś ranka, leżąc jeszcze pod kołdrą i czując przyływ męskich sił. Proponowali mu klasę wokalną w Wyższej Szkole Muzycznej na nieprawdopodobnych warunkach. Prowadzenie bodaj dwóch, trzech uczniów w dowolne dni i godziny. To oznaczało, że fama o jego powrocie do formy rozeszła się po Warszawie, chociaż starannie zatajał swoje życie prywatne. Nie dał od razu odpowiedzi na propozycję i nie dlatego, żeby się drożyć, ale nie mógł po tylu latach dobrowolnego odejścia z zawodu powziąć od razu decyzji. To znów przewracało do góry nogami jego już ułożone i wyciszone trwanie.

Dam cztery godziny lekcji co drugi dzień - postanawiał - młodzi będą się bili o miejsca u mnie. Nikt w kraju nie wie tyle, co ja, o pudle rezonansowym, jakim sami jesteśmy. Uczymy śpiewać, grać na instrumencie, ale co śpiewak może zrobić z własnym ciałem, mało kto ma pojęcie.

Lidka przyszła późno, okropnie zaśnięzona.

- Psia pogoda - poskarżyła się Andrzejowi.
- A wiesz, że ja kiedyś, dawno, dzwoniłem po ciebie do Mody? - powiedział ni stąd, ni zowąd.

Chwilę milczała, nic nie odbiło się na jej twarzy.

- Prosiłam cię, Andrzej, żebyś tego nie robił. Chyba, gdybyś się bardzo źle czuł - powiedziała wreszcie. - Telefon jest w pokoju kierowniczkim, na zapleczu. Szału dostaje, gdy opuszczamy stoiska! Właściwie... dlaczego dzwoniłeś?

- Nie wiem - rzucił lakonicznie, po swojemu - po prostu zadzwoniłem.

- I dlaczego mnie nie poprosili?

- Miałaś wolne. A ja - nie miałem szczęścia.

Wybuchnęła szalonym, nieopanowanym śmiechem. Przyglądał jej się chwilę z niechęcią.

- Czy możesz przestać? - zapytał z niezadowoleniem.
- Nie - wykrztusiła - nie mogę.
- Dlaczego? - zdziwił się.
- Bo to jest cholernie śmieszne!

Pierwszy raz powiedziała takie słowo.

- Myślałem, Lidka, że ty nie potrafisz zakląć - uśmiechnął się.

- Uczę się, Andrzeju. Wszystkiego się nauczę.

- Czy wolno wiedzieć, od kogo się j e s z c z e uczysz? - zapytał.

- Ach, od mojej przyjaciółki! Niemal siostry. Mieszkałyśmy obok siebie w Skarżysku. Na przedmieściach, gdzie stały małe domki. Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak to wygląda? Drewniane płotki, a za nimi parę drzewek, jakieś krzewy, pod domem na rabatach - kwiaty. Okienne pomalowane na zielono... wycięte w nich serduszko... - urwała. Patrzyła w coś, czego Andrzej nie mógł dojrzeć. Tylko w swoje życie. Przyglądał jej się z zainteresowaniem, bo w tej krótkiej chwili znów objawiła mu się zupełnie kimś innym, niż była dla niego. I w tej wersji naprawdę chwyciła za serce. - Razem chodziliśmy do szkoły - dodała Lidia, wychodząc ze swego zapamiętania w przeszłość. - Nieważne, zresztą. Jo umie sobie radzić z życiem.

- Jo? - zainteresował się natychmiast. - Ładne. Skrót. Od czego?

- Jowanka.

Lidia piekielnie mało mówi o sobie - myślał nie spuszczać jej z oczu - a ja jestem zachłanny. Muszę to jednak w sobie ukrócić.

- No więc? - natarł. - Dlaczego taka urocza dziewczyna, jak ty, śmieje się tak brzydko?

- Brzydko? To ty... brzydko robisz... Ja cię o coś proszę, a ty... No, nieważne. Los cię ukarał. Nie było mnie w robocie. Nie usłyszałeś mnie.

- Zimą się niczego nie chce - przeciągnął się - mnie też. Ale jak się zrobi na dobre wiosna, zaczniemy działać. Kupię ci seledynową suknię, nie - turkusową. W turkusie będzie ci bezkonkurencyjnie. I nauczę cię malować usta, Lidio. Jeszcze tylko tego mi brakuje. Twoja Jowanka będzie świadkiem na naszym ślubie. Podoba mi się to imię. Ono gra samo za siebie.

- Ty nigdy nie przestaniesz być aktorem, Andrzej - zauważyła - cały świat, wszystko widzisz pod kątem sceny, chociaż zerwałeś z teatrem.

Chwilę milczał, nie wiedział, czy jest mu przykro, czy nie. Skapitulował. Sam przed sobą, po dwunastu latach.

- Aktorem, artystą, śpiewakiem nie przestaje się być nigdy - powiedział spokojnie - ktokolwiek raz żył w teatrze. Dla aktora, artysty, to jest prawdziwe, co dzieje się na scenie. Rzadko to, co dzieje się w życiu. Prawda znajduje się tylko w sztuce, w tym, co jest w nas lepsze, szlachetniejsze, mądre. Prawda - to piękne, Lidio. Jedyna.

Stała bez ruchu i patrzyła na niego wielkimi oczami, niemal wystraszona. Podziwiała go. Teraz - miał ją.

I co z tego - pomyślał. - Sekunda. Jakież to zwodne. Całe życie uczyłem się i uczyłem innych, pracowałem jak wariat, brałem po łbie, kochałem i byłem kochany, wpadłem do rynsztoka i wylazłem z niego, żeby starczyło na zdanie paralizujące na jeden wieczór dziewczynę.

Rozdział 20

- Nie rozumiem, skąd pan ma tę ofertę? - dziwiła się Lidia, obracając w rękę papier, który pokazał jej wywiadowca. - Naturalnie! - wykrzyknęła z zadowoleniem. - To kótko ja zrobiłam! Miałam akurat czerwony długopis. Kierowniczką w

Modzie wpadła na pomysł, żeby każde stoisko wypisywało paragony innym kolorem długopisu. Dużo łatwiej było wieczorem segregować wpływy od każdej z nas. Ale wie pan, niedługo potrwało. Było za mądre i komuś się nie spodobało. - Lidia odwróciła ofertę. - Oczywiście, adnotacja jest też zapisana moją ręką. Nic nie rozumiem - powtórzyła.

- Ta sama oferta? - chciał się upewnić Kolankowski.

- Ta sama. Już panu powiedziałam, ale...

Przyglądał jej się natrętnie. Albo była bezgranicznie naiwna, albo szczwana do niemożliwości. Jeszcze takiej nie spotkałem - pomyślał. Lidia podała mu ofertę.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Mam prawo wiedzieć, skąd milicja ma pamiątki z mego pudełka?

Spojrzał na nią spod oka.

- Jedno jest pewne - mruknął - same stamtąd nie wyszły.

Niemal zatchnęła ją otwartość wywiadowcy. Chciała mu burknąć coś po swojemu, przyczepić się do człowieka, który ją nękał, gdy nagle ucichła i namysł pojawił się w jej oczach. - Ach, tak - powiedziała niesłychanie spokojnie - mnie też o coś posądzacie? Pewnie o to, że jednak znałam pana Gandera. A widzi pan? - roześmiała się teraz niemal wesoło. - Mówił pan za pierwszym razem, że prosi mnie pan tylko o pomoc. Akurat! I kto miał rację? - spytała retorycznie - na czyje wyszło? Będziecie się mnie teraz czepiać. Niech to wszystko diabli wezmą - wyrwało się Lidii spod serca. - I co dalej? - zwróciła się do wywiadowcy nienawistnie.

Ależ ma charakterek - stwierdził - nie zazdrozczę wybranemu.

- Nikt panią o nic nie posądza - powiedział z irytacją - chcemy ustalić fakty. Czy to dla pani za mądre?

- Tralalala! - zawołała tylko Lidia Kazimierzak, a wywiadowca powiedział sobie, że to jest zupełnie nieodpowiedzialna dziewczyna.

- Czy pani chociaż wie, co pani mówi? - zauważył bezradnie.

- A pewnie! - powiedziała drażniąc go dalej celowo. - Cudownie wiem i oświadczam panu, że wcale się was nie boję!

Kolankowski zajęczał w duchu.

- Proszę pani - powiedział pokonany - chcieliśmy tylko wiedzieć, czy to pani oferta, czy nie!

- - No, już pan wie i niech pan sobie idzie! Mam robotę. Przyszły bluzki z Włoch i baby zaraz rozniosą stoisko. Do widzenia!

Zostawiła go na środku biura, całkiem osłupiałego. Nie był w stanie nad niczym się namyślić, złożył więc machinalnie ofertę znaną w sekretce i wsunął do kieszeni.

Po drodze do Komendy nabrał takiego wigoru, że odsunął z drogi sekretarkę Kordy i był pewny - nigdy nie czuł cykorii przed kapitanem.

- Szefie - zawołał od progu. Korda się niedostrzegalnie skrzywił. - Towarzyszu kapitanie - poprawił się prędko. - To jest oferta z mieszkania Lidii Kazimierzak. Ona potwierdza, że zrobiła na niej adnotację. - Wyciągnął papier z kieszeni i położył na biurku, przybijając dłonią.

- Czy wy się, Kolankowski, nie pozbędziecie przedwojennych manier, co? - zauważył cierpko Korda.

- Przepraszam - mruknął - zapomniałem. I całkiem ostygł, zamknął się w sobie jak ślimak w skorupie.

- Nie ma się o co obrażać - zmiękł zaraz Korda. Wywiadowca gapił się w zaplecione ręce. - Czy panna Kazimierzak wyjaśniła wam również, w jaki sposób jej „pamiętka” przewędrowała z ulicy Marchlewskiego na Służewiec?

- Nie - odparł krótko - nie wyjaśniła.

- Dlaczego?

- Poszła sobie. Zostawiła mnie i poszła sprzedawać bluzki!

Korda patrzył chwilę na wywiadowcę, jakby jego słowa wcale nie dotarły do celu. Po sekundzie wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Nie może być! Taka dziewczyna? I pozwoliliście zrobić z siebie... zrobić z siebie... przepraszam was - zauważył z naganą pod własnym adresem. Połączył się z sekretarką i zaczął wezwać zaraz pannę Lidię Kazimierzak ze sklepu Mody na Ordynackiej. - No, żarty się skończyły.

- Mam do was prośbę, kapitanie - odezwał się Kolanowski z trudem.

- Słucham?

- Dajcie jej łupnia, dobrze? Żeby sobie popamiętała.

Korda milczał. Wiadomo, co powinien w tej chwili powiedzieć i tak dalej, ale wcale mu się nie chciało. Znakomicie rozumiał grubego, spracowanego w niewdzięcznej służbie człowieka, którego jakaś koza sprostponowała. Ale nie miał też zamiaru nikomu dawać łupnia bez powodu.

- Wystąpię dla was o premię w tym miesiącu - powiedział pojednawczo.

- Tak jest, kapitanie, przyda się.

- Poszukajcie Zygmunta - polecił Korda byle co, żeby oszczędzić mu powtórnego spotkania z Lidią Kazimierzak. Dziewczyna powinna się zaraz zjawić. Na Ordynackiej - pamiętał - jest postój taksówek. Odezwał się dyktafon.

- Panna Lidia Kazimierzak czeka - oznajmiła sekretarka.

- Niech wejdzie.

Była naładowana. To nie ulegało dla niego wątpliwości, ale wyglądała też na przyzwoitą, szczerą dziewczynę, co rzadziej jest zwodnicze, niż się zdaje.

- Proszę, niech pani siada - powiedział uprzejmie - moje nazwisko Korda. Kapitan Korda.

Troszkę odtajała.

- Czasem musimy, niestety, prosić o pomoc naszych obywateli, proszę pani. Nie ma na to żadnej rady.

Raz to słyszałam - pomyślała w duchu, ale zmilczała. Przed tym kapitanem nie czuła się wcale tak pewnie, jak wobec tamtego człowieka, a nawet gdy na nią patrzył, robiło się nieprzyjemnie. Korda położył przed nią ofertę.

- Ten druk z powielacza, proszę pani, został znaleziony w mieszkaniu nieżyjącego pana Gandera.

Strzał był celny.

- Już po śmierci? - zapytała po chwili nieswoim głosem.

- Nie mam obowiązku udzielić pani odpowiedzi - stwierdził spokojnie Korda - ale owszem, oferta została znaleziona po śmierci pana Gandera.

- To źle - rzuciła prosto i odważnie - dla mnie. I co ja teraz zrobię? - zapytała bez hysterii.

- Ma pani jakiegokolwiek podejrzenia? Czy mogłaby pani odpowiedzieć s o b i e na pytanie, w jaki sposób oferta się tam znalazła?

Lidka uśmiechnęła się niewesoło.

- Tak. Ma pan rację. Pan ... przepraszam, pan mówi do ludzi normalnie. Chciałabym tylko sobie odpowiedzieć na to pytanie. Reszta mnie nie obchodzi. Nigdy w życiu, nigdy nie widziałam na oczy pana Gandera. Nawet w teatrze!

- Zgadza się - zauważył Korda - pani jest na to za młoda. Gander wcześniej zakończył karierę. Kto wziął z pani mieszkania tę ofertę, słucham? - spróbował zmusić ją do myślenia według swojej woli.

- Nikt - odparła bez wahania. - Do mnie nikt taki nie przychodzi. Nie znam takich ludzi.

No dobrze - pomyślał Korda - zostawmy cię na razie z tym mniemaniem. Jak najdłużej.

- Ma pani samochód? - zapytał o coś pozornie całkiem odmiennego.

- Już mnie o to pytano. Nie mam.

- Czy ktoś z pani przyjaciół jeździ wozem?

Głos ostrzeżenia ozwał się w Lidce. Na razie nie wiedziała,

dłaczego i o co chodzi, ale zrobiła się ostrożna.

- Mężowie koleżanek z pracy mają wozy. To teraz już nic takiego u nas.

Korda wyczuł w niej zmianę nastroju.

- Chodzi konkretnie o fiata 125 pomarańczowego koloru. Nazywają go bahama yellow - powiedział znieca.

Już wiedziała, dlaczego zaczęła się bać i czego się boi - kłamstwa. Będzie jednak kłamać, niczego nie dowie się od niej ten wyjątkowo sympatyczny człowiek ani żaden inny. Nie pozwoli wciągnąć Jowanki w jakąś brudną sprawę ani zniszczyć kapitana Klementa, Sławka swojej Jo, tylko dlatego, że dała kiedyś ogłoszenie w „Kajusie”.

Chodziłam z Jo do szkoły - pomyślała - bawiłam się z nią w sadzie przy naszym domu. Nikt nigdy nie zrobi jej krzywdy, dopóki to ode mnie zależy.

- Nikt z moich przyjaciół nie ma fiata bahama yellow - powiedziała, patrząc kapitanowi prosto w oczy.

Gdy wyszła, zawołał natychmiast Kolankowskiego.

- Weźmiecie zaraz pod obserwację dom Lidii Kazimierzak i miejsce pracy.

- Tak jest - mruknął wywiadowca - czego mamy pilnować?

- Wszystkiego - uśmiechnął się kapitan - szczególnie pomarańczowego fiata. On kiedyś przyjedzie do Lidii Kazimierzak. - Wykręcił numer Opery z miejskiego telefonu.

- Alek? - zapytał.

- Tak, ja. Dzień dobry, Heniek.

- Zapraszałeś mnie na porto.

- Zapraszałem. Przyjdź dzisiaj po południu. Możesz?

- Tak. Mogę.

- Czekam - powiedział Alek krótko i odłożył słuchawkę.

Wezmę, do licha, emeryturę - pomyślał kapitan - przejdę do spokojniejszej pracy. Dostyc tego dobrego. Wino czekało

na stole. Alek łąził po pokoju w szlafroku.

- Szkoda, że nie poznasz Krzysi - żałował. - Żona jest w Łodzi. Kręci nowy film.

- Jaki? - zaciekał się Korda.

- Reymonta. I co, Heniek? Doszedłeś do czegoś, czy śledztwo nie ma żadnego sensu?

- Przeciwnie. Spodziewam się, że na dniach je zamknemy.

Wypieki pojawiły się na policzkach Alka.

- Ciągłe potrafisz się angażować - zauważył kapitan.

- A ty, jak zawsze, wszystko widzisz - roześmiał się Alek. - Jesteś niebezpieczny, Heniek.

- Tak mówią - odparł Korda. I zaraz odechciało mu się emerytury, a nawet był pewny, że nic takiego nigdy w głowie mu nie powstało.

Alek przesiadł się do niego na kanapkę, po swojemu, diabelnie czule, intymnie.

- Coś ci powiem. Byłem jedynym przyjacielem Andrzeja Gandera. Przez całe jego życie. Dziwne, nie?

- Nie.

- Owszem - mruknął Alek - bo widzisz, nigdy nie byłem śpiewakiem tej miary, co on. Wówczas, gdy obaj śpiewaliśmy, mogłem go zniechęcić. Potem, kiedy on przestał śpiewać i całe życie mu się zwichnęło, mnie leciało coraz lepiej. Wtedy on powinien mnie zniechęcić. Nie do wiary, nigdy nic takiego się nie stało, Heniek.

- No cóż, nie wszyscy postępują typowo.

- Uważasz, że dowiemy się prawdy o jego śmierci?

- Tak uważam.

- Ja cię wówczas wykąpię w szampanie! Będziemy obaj pijani jak smarkacze. Nie może tak być, żeby jakiś człowiek nie miał n i c z e g o w życiu i nawet sprawiedliwość nie wyrównała za niego rachunku.

- Alek, Alek - westchnął Korda - jak ty mogłeś żyć ze swoją ... z taką bezkompromisowością.

- Mogłem.

- Jesteś zadowolony ze zmiany w życiu? - zapytał kapitan delikatnie.

- Tak. Chciałem się z nią żenić już kiedyś, dawno, ale miała chłopaka. Zdolny tancerz, nic więcej. Musiałem go przeczekać. Umiem czekać, Heniek.

- Wiem - roześmiał się szczerze Korda.

- Nasz naród musiał się tego nauczyć - powiedział Alek w zamyśleniu.

- Wracasz na starość do początku? - spytał tylko Korda.

- Bo ja wiem? To jest niemożliwe. Musiałbym zdzierać z siebie skórę, nie tylko koszulę. -Roześmiał się. - Warszawy nie można się pozbyć, kapitanie. Nigdy. Można natomiast uprzytomnić sobie źródło... poczuć jego pulsowanie. To wszystko... i tyle... wystarczy.

- Mało kto wie na dobrą sprawę - zauważył Korda - że jesteś powstańcem z getta, Alek. Młodzież podziwiała tylko partyzanta. Tu jest coś nie w porządku.

- W getcie orderów nie dawali - zauważył Alek. - Tam się tylko umierało. Mój generał w lasach janowskich ubrał mi pierś na całe życie - uśmiechnął się. - Nie masz pojęcia, jaki dumny z tego jest mój syn z pierwszego małżeństwa. Czasem tylko ogarnia mnie taki zwykły, żydowski smutek, Heniek. Bez początku, końca i powodu. Nikt tego nie może zrozumieć oprócz ciebie i... Andrzeja Gandera. Mój syn nawet nie wie, o co chodzi głupiemu, staremu ojcu... A ja... teraz rozumiesz tych, którzy stają twarzą do swojej ściany płaczu.

Coś drgnęło w Kordzie - świat dzieciństwa. Stara, zburzona Warszawa. Stolica tyłu narodowości - Polaków, Żydów, Rosjan, Niemców, Ormian. Ludzi żyjących ze sobą o miedzę, dzieci bawiących się razem w rynsztokach, baraszkujących

z nimi psów z różnych domów. Koty wygrzewające się na słońcu w kurzu biednych dzielnic, gdzie nikt nie pytał, kto kim jest ani skąd przychodzi. Oblała go znana, wydawało się, zapomniana fala gniewu za zburzenie razem z miastem jego tradycji.

- Zostaw, Alek, stary świat, starych ludzi - nas. Bo coś ssie w dołku.

- A co? - uśmiechnął się trochę dziecinnie Alek - ssie? Nie?! To znaczy, że mądrzejemy. Chcemy widzieć całość naszego życia. Krzysia tak mówi. Gdy zobaczysz dobrze całe swoje życie, to oznacza, żeś dojrzał.

- Odezwę się do ciebie zaraz, Alek - powiedział kapitan - jak tylko zakończymy śledztwo. To już nie będzie długo trwało.

- Tak, chcę wiedzieć - odezwał się Alek w przestrzeń - pierwszy. Coraz rzadszy ten las, Heniek. I nas coraz mniej. Musimy się trzymać razem. Jeden za drugiego.

W zapadłej nagle między dwoma mężczyznami ciszy, ponieważ obaj patrzyli jeszcze raz, każdy w swoją stronę przeszłego życia, wdarł się ostro dzwonek telefonu. Alek podskoczył, jakby w pokoju wybuchła mina. Korda - ani drgnął. Uśmiechnął się.

- Spokojnie, Alek. Nerwy masz jednak zszargane. Już nikt nigdy nie przyjdzie po ciebie, rozumiesz? To któryś z moich ludzi. Zawsze wiedzą, gdzie jestem, jeśli mam napięte śledztwo. Chcesz się założyć - to Kolankowski.

Alek uśmiechnął się z zażenowaniem, podniósł słuchawkę.

- Zgadłeś - powiedział tylko.

- Pomarańczowy fiat należy do Jowanki Klement. Przyjeżdża nim na Marchlewskiego do Lidii Kazimierzak - mel-dował wywiadowca.

- Często? - zainteresował się Korda.

- Dawniej, średnio dwa razy w tygodniu, mówi dozorczyńni. Teraz pani Klement tylko wpada rankami do Mody.

Kapitan Klement jest w Warszawie.

Korda westchnął. Spojrzał z żalem na Alka zagapionego w okno, na butelkę porto, świecznik stojący na czarnym blacie fortepianu. Wszystko razem też, w niewytłumaczalny sposób, było domem. Ile rzeczy, drobiazgów, przypomnień, zapomnień składa się na ojczyznę - dom. Jak to diabelnie od czasu do czasu boli - pomyślał Korda. Czuł niechęć do tego bólu i pragnął go jak wszystkiego, co oczyszcza i przypomina człowiekowi własne miejsce w świecie.

- Przyłapcie naszych, kto jest w Komendzie - rzucił szorstko w słuchawkę - zaraz będę. Niestety, Alek - zwrócił się do przyjaciela - porto wypijemy do dna innym razem.

Alek kiwnął w zamyśleniu głową. Nie ruszył się z miejsca, nie odprowadzał kapitana do drzwi, jakby Korda wychodził tylko na chwilę i zaraz wracał.

- Jak wiadomo - powiedział do ludzi bez wstępów - kapitan Klement wraca do Gdyni na początku listopada. Ma przebrnąć w rejsach.

- Tak. Klement przez wiele lat pływał na okrągło. Najwyżej z tygodniem wytchnienia. Należy mu się dłuższy odpoczynek - przytaknął wywiadowca.

- Gdybyż uznawano takie rzeczy częściej - mruknął Korda cierpko i tak cicho, że nie wiadomo, kto go przy stole usłyszał. - Mamy dwudziestego października. Zaczekamy dziesięć dni. Takie jest moje zdanie. Proszę się wypowiadać. - Ulga ogarnęła zespół. - Czekamy więc - podjął Korda - do powrotu kapitana Klementa na statek. Zaraz po jego wyjeździe pošlemy ludzi do kapitanowej. Przywieziecie ją do nas. Zobaczymy, co będzie miała nam do powiedzenia.

Oby niewiele - pomyślał Zygmunt. - Ale przynajmniej zamkniemy paskudne dochodzenie. Wszyscy w grupie nie znosimy tej sprawy i nie pierwszy raz. Korda zawsze dostaje coś

takiego, że człowiek nie wie, co zrobić z tym fantem. Jeszcze teraz, gdy został zamieszany kapitan Klement, każdy dałby nie wiadomo co, żeby nigdy ten cholerny fiat nie pojawił się na służewskim osiedlu. Niestety, jednak kapitanowa tam parkowała i będziemy musieli ją spytać - po co.

Rozdział 21

Andrzej Gander znalazł się jakiegoś lipcowego przedpołudnia pod świetlnym sygnałem przy skrzyżowaniu Nowego Świata z ulicą Świętokrzyską. Obok niego tuż przy krawężniku zatrzymał się fiat pomarańczowego koloru, oczekujący na zmianę świateł. Był tak daleki od myśli, że Lidia potrafi prowadzić wóz, że patrzył bezmyślnie wprost na profil kobiety przy kierownicy, absolutnie nie utożsamiając jej z własną Lidią.

Jowanka, jak każdy człowiek ukrywający swoje prawdziwe życie, równie dobrze widziała Andrzeja, licząc właśnie, że nigdy jej nie dostrzeże, tak dalece silny jest w nim ten portret Lidii Kazimierzak, który sam zbudował we własnej świadomości.

Nie zdejmowała jednak nogi z gazu i raz po raz rzucała okiem na światła. Denerwowała się, usiłując odgadnąć, jak szybko ruszy człowiek siedzący w wozie przed nią. Nie czyniła mimo to żadnych ruchów. Jowanka po prostu zamarła.

Sprężone osłupienie dwojga ludzi było tak silne i tak długo trwało, że Gander dostrzegł i poznał dziewczynę w sekundzie zmiany świateł. W tej chwili uczeplił się mocno klamki prowadzonego przez nią wozu, musiała zmienić zamiar i skęćcie za róg Świętokrzyskiej. Ledwo zdążyła dać mu znak ręką i wyrzucić w porę kierunkowskaz.

Skręcił za wozem krocząc automatycznie, pewny, że uległ majakowi i za rogiem Świętokrzyskiej nie zobaczy żadnego fiata pomarańczowego koloru. Nie widział na skrzyżowaniu żadnej Lidii przy kierownicy.

Fiat jednak stał w pewnej odległości od skrzyżowania, znakomicie widoczny z racji koloru.

Przypieszył kroku, żeby znów zobaczyć profil Lidii i jej ręce bezwładnie spoczywające na kierownicy. Założyła przez ten czas, gdy do niej szedł, duże, ciemne okulary, ale widział w nich nadal pociemniałe w granat oczy.

Spokojnie otworzył drzwiczki samochodu i usiadł na przednim siedzeniu obok dziewczyny.

- Możemy jechać - powiedział lakonicznie. Nigdy nie było wiadomo, co się za tym kryje.

- Dokąd chcesz jechać? - spytała dlatego idiotycznie, nie mniej jednak spokojnie, jak on.

- Nie mam żadnych planów - stwierdził. - Ale ty z pewnością miałaś - zauważył - jedźmy więc tam, dokąd miałaś zamiar jechać.

Bez słowa zapaliła silnik i ruszyła dość ostro, ale nie w taki sposób, który mógłby świadczyć o sprzeciwie lub irytacji. Zręcznie włączyła się w ruch jezdni i Gander mógł powiedzieć z uznaniem:

- Dobrze prowadzisz wóz, Lidio. Nigdy mi nie mówiłaś, że potrafisz. To twój samochód?

- Nie. Jowanki. A ty masz prawo jazdy?

- Mam. Ale, jak ci wiadomo, jeszcze niedawno byłem pijaczkiem - powiedział z okrucieństwem - nie dotykałem kierownicy z własnej, nieprzymuszonej woli. Można się zapijać i nie stracić elementarnych zasad uczciwości.

- Nie mów tak, Andrzej - rzuciła bardzo spokojnie, skręcając w stronę placu Powstańców Warszawy. Właśnie wtedy, przy tym manewrze, zobaczyła ich Anetka Kastor.

Przez jedno mgnienie widziała włosy Jowanki, ciemne szkła i świetny krój szmizjerki.

Andrzej wiedział, że dziewczyna musi uważać na jezdnię, ale gorąco pragnął, aby się w coś wpakowała. Rozbiła zaraz, razem z nimi, nieskazitelnie polakierowany wóz. Czuł, że bomba wściekłości narasta w nim, wzbiera i chociaż niegdyśiejsze szaty dawno się już skończyły, znów ciemniało mu w oczach i dusiło w gardle. Nieprzytomna nienawiść, skierowana we wszystko i w nic, zupełnie oślepiła go i ogłuszała.

- Masz znakomicie umalowane usta, Lidio. Nigdy nie mogłem się ciebie o to doprosić, a robisz to świetnie.

Blisko siedzieli, czuł przez skórę, że w Lidii też zaczyna narastać gniew. Coraz wyraźniejsze ciepło biło od niej, ale nadal panowała nad kierownicą. Na placu Powstańców Warszawy skręciła w zatoczkę.

- Pozwolisz, że tutaj zaparkuję. Pостоimy i ty powiesz, co masz mi do powiedzenia. Ja przestrzegam elementarnych zasad bezpieczeństwa na jezdni.

To już nie była mała Lidka, o nie. Sposób wyrażania się kobiety obok niego był też zupełnie różny od znanego.

A jednak nie ja ją uczyłem - pomyślał z ironią pod własnym adresem. - Zupełnie ktoś inny i z pewnością to jest mężczyzna.

- Ja nie mam ci nic do powiedzenia, Lidio!

- Wobec tego zobaczymy się wieczorem. Gdzie mam cię podwieźć?

Zdawało mu się, że już wszystko widział w życiu, ale kogoś takiego, jak ta dziewczyna, nie spotkał.

- Podwieź mnie do „Adama” – powiedział przyglądając jej się z zainteresowaniem. Niemal podziwiał ją. Całkiem nowy gatunek stworzenia. Pasja całkowicie minęła.

- Chcesz sobie coś kupić? - zapytała po kobiecemu, ciekawie.

- Tak. Deszczowiec.

- Świetnie - zawołała, jakby się nigdy nic nie działo. Nie wiozła go w luksusowym wozie, nie wiadomo czym. Wcale nie wierzył w jej Jowankę. - Wybiorę ci cud płaszczyk, Andrzej.

- Zgoda - powiedział i uśmiechnął się do siebie. - Co ta twoja Jowanka robi?

- Jowanka? - z kolei ona się uśmiechnęła. - Jowanka nic nie robi. Jowanka żyje.

- Można wiedzieć z czego? - spytał z ironią.

- Z męża, Andrzej, z męża - odparowała - jej mąż jest kapitanem Żeglugi Wielkiej i mogłaby jeździć nie takim wozem, gdyby chciała, ale nie chce! Powiada, i słusznie, że ma dosyć zawiści.

Znów był zdumiony i od kwadransa szarpany sprzecznymi uczuciami, mimo żelaznych nerwów z trudem panował nad sytuacją. To, co przed chwilą powiedziała, nosiło wszelki pozór prawdy.

Wysiedli przed „Adamem”. Dziewczyna starannie zamknęła wóz. Była znakomicie ubrana. Nigdy nie widział jej w podobnych szmatkach. Miała na sobie suknię rudego koloru, nieprzyzwoicie elegancką z powodu nienagannego kroju, miękką, zamszą torbę i także rzymki na bosych stopach, liliowe perły na szyi z ogromnym brązowym zamkiem. Znał się na kobiecych strojach. Kiedyś stanowiły część jego życia. Miał do nich słabość prawie taką samą, jak do kobiet.

Już stała przed wystawą.

- O, popatrz, Andrzej, na pewno kupimy ci jeszcze ten krawat!

Rzucił okiem na witrynę. Miała rację, krawat był znakomity.

Zawsze dziwiłem się, skąd bierze się jej gust do męskich drobiazgów - pomyślał. - Dla siebie nie miała ani w części takiej wyobraźni. Spotykałem już takie kobiety. Jak się

okazuje, Lidia do nich nie należy. Kłamała. Niepojęte. Dlaczego?

- Gdzie chcesz być jeszcze podwieziony? - spytała grzecznie po wyjściu ze sklepu.

- Nigdzie, Lidio - stwierdził zgodnie z prawdą - chcę się trochę powłóczyć po mieście. Jeśli możesz, weź tylko paczki. Masz wóz. Wieczorem mi odwieszysz.

- Świetnie, kochany - zgodziła się chętnie, jakby można było czymś wozem jeździć całymi dniami. Odzyskała też humor i byli znów ze sobą w najlepszej komitywie.

- Nie pracujesz dziś? - spytał jeszcze i zrobił to tak, jakby jej odpowiedź nic dla niego nie znaczyła.

Dała się na to złapać.

- Owszem, pracuję - odpowiedziała bardzo poważnie. - Od dwunastej. Ojej, muszę już jechać - zawołała z przejęciem, sprawdzając godzinę. - Zwolniłam się na trzy kwadransy. Do dentystki - roześmiała się. - Pa, Andrzej.

Stał jeszcze sekundę, zanim ruszyła, patrzył za wozem. Pokiwała mu dłonią.

Stworzenia innego gatunku - myślał, idąc z powrotem w kierunku Nowego Świata. - Inny gatunek ludzi - młode kobiety. Dlaczego ubrdałem sobie, że możemy się ze sobą dogadać w sprawie stylu życia, moralności, etyki. Ona uważa, że wszystko jest już w najlepszym porządku. Nic mnie nie powinno obchodzić, kim jest naprawdę. Mam przyjąć grzecznie to, kim chce być dla mnie. Ani słowa więcej. W gruncie rzeczy nic a nic nie interesują mnie takie kobiety ani tacy mężczyźni. Jeśli kochałem kobietę, chciałem wiedzieć, jaka ona jest w rzeczywistości i prawdopodobnie dlatego ją kochałem. Jeżeli przyjaźniłem się z mężczyzną, chciałem go znać na wylot i tylko jeden mężczyzna wytrzymał tę próbę - Alek. Dziwimy się, dlaczego dziś miłość, przyjaźń jest pozorem. Musi być przy takiej postawie partnerów. Mnie taka miłość zupełnie nie interesuje. Miałbym gdzieś taką przyjaźń.

Dostałem bzika, ale już mi przechodzi. Który to raz? Skręcił w Ordynacką i wszedł do Mody Polskiej.

- Chciałbym się zobaczyć z panną Lidią Kazimierzak - powiedział do pierwszej z brzegu sprzedawczynie.

Spojrzała na niego przelotnie, nie mniej taksująco. W salonie już wałkował się tłumek, więcej odwiedzających niż kupujących.

- Na bluzkach - rzuciła obojętnie, zmęczona upałem.

Wentylatorek cicho szumił przy niej, na ladzie. - Tam, w głębi, na prawo.

Stał w progu mniejszego, zamkniętego pomieszczenia. Mieściły się w nim trzy stoiska: bielizna, bluzki i drobna galanteria.

Słynne staniki Lidii - uśmiechnął się do siebie i stał nadal obserwując pokój i ludzi. Przypominał sobie wszystko, niemal dzień po dniu od jej pierwszego telefonu. Widział Lidię przy stoliku pod palmą na Rozdrożu. Lidię w leżaku, utopioną niemal w bluszczu na jego własnym balkonie, Lidię na parkiecie w „Kamieniołomach”. Lidię pochyloną nad sekretką w ramie lustra. Ale tutaj Lidii nigdzie nie było.

- Panny Kazimierzak jeszcze nie ma? - zapytał ekspedientki przy galanterii. Naciągała pończochę na rękę i ledwo podniosła wzrok, wcale nie patrząc na mężczyznę. Rzuciła tylko okiem w stronę stoiska z bluzkami.

- A jest! Stoi. Tam. Przy bluzkach. To jest cienka pończocha - zwróciła się do klientki.

Kotłowanina kobiet w ciasnym pomieszczeniu przy atrakcyjnych towarach była Ganderowi szczególnie na rękę.

Tak - pomyślał - wszystko się zgadza. To j e s t Lidka. Gdybym miał charakteryzować Lidkę do spektaklu, ubierać, reżyserować, ustawiać, tak bym ją właśnie zrobił, jak wygląda i jaka jest ta dziewczyna.

- Tak. Zgoda. To jest Lidia - powtórzył głośno, wcale nie zdając sobie z tego sprawy.

- Proszę? - spytała zdziwiona ekspedientka.

- Ach nic, dziękuję pani - uśmiechnął się po swojemu, najładniej jak potrafił, co wywarło na dziewczynie natychmiastowy skutek. Przestała interesować się własnym towarem na ladzie i utkwiała wzrok w mężczyźnie, jakby się go pytała, skąd taki się tutaj wziął?

Odwrócił się i wyszedł z Mody. Wstąpił jeszcze na kawę do „Mazowii”. Siedział w cienistym lokalu o tej godzinie prawie pustym i czuł się dobrze. Kawa mu smakowała.

Ciekawe, co wieczorem powie moja Lidia? Coś się w nim diabelsko śmiało. Odnalazł swój stary humorek z dystansem do świata, z pogardą dla ludzi.

Może do kobiet - pomyślał. - Tak, to jest ściślej i nieco inne.

- Kawa była dobra - powiedział do kelnerki.

Rozdział 22

- I coś ty sobie wyobraziła, Lidio? - spytał ją obojętnie, spacerując wzdłuż pokoju.

Znów był otwarty balkon z powodu pięknego lata i słodkie ciepło ciągnęło z powietrza.

Niedługo będzie trzeci, kolejny lipiec - pomyślał - ale my się już ze sobą nigdy i nigdzie nie spotkamy, moja piękna.

- Coś ty sobie, dziecinko, wyobrażała? - powtórzył łagodnie. Zdawało mu się, że ona go już niewiele obchodzi.

Leżała na tapczanie rozebrana do rosołu. Nagie, fantastycznie długie nogi podobały mu się tak samo jak wczoraj i jak dawniej miał na nie ochotę. Właśnie założyła nogę na nogę, bo to robiło na mężczyznach wrażenie. Andrzej zauważył, że Lidia wielu rzeczy uczy się w kinie.

- Po co zaraz coś sobie wyobrażać? - rzuciła niechętnie. - Chciałam coś zrobić ze swoim głupim życiem tak, żeby nikomu nie sprawić przykrości. Jak znalazłam twoją ofertę u Lidii w domu, nawet przez myśl mi nie przeszło zadzwonić do ciebie. Nawet telefonu nie odpisałam. Pojęcia nie mam, dlaczego go zapamiętałam. To ty stale chcesz sobie coś wyobrażać. Wszystko wiedzieć, przenicować człowieka na dziesiątą stronę. Wywiercić w nim dziurę, żeby zobaczyć, co w nim siedzi w środku. Mnie nie interesuje, co siedzi w tobie. Mnie było z tobą dobrze. Czy tobie było ze mną źle?

- Przeciwnie, dziecinko, było mi bardzo dobrze - uśmiechnął się.

- Więc o co chodzi? - zdumiała się.

- Zupełnie o nic, Lidio!

- Świetnie, Andrzej. Przestań do mnie mówić: Lidio. Mam na imię Jowanka. Jo. To imię, jak słyszałam, podoba ci się znacznie bardziej.

- Ładne rzeczy! - odezwał się po chwili milczenia - oprócz fiata posiadasz także męża, kapitana Żeglugi Wielkiej.

- Mam i nie mam - powiedziała nieśmiało. - Widuję go tak mało...

- Po kiego licha tyś to wszystko zrobiła, Li... przepraszam, Jo... Do diabła, nigdy się do twego imienia nie przyzwyczaję!

- Przyzwyczaisz się. Bardzo prędko - roześmiała się.

Zmrużył po swojemu piękne, wyraziste oczy aktora i na dobrą sprawę bardzo zimne. Jowanka w tej chwili dobrze to dostrzegła, od momentu, gdy była dla niego Jowanka. Do czasu, gdy egzystowała jako Lidka, one miały dla niej zawsze ciepłe błyski. Nie przejęła się bardzo, bo wierzyła w swoje nogi i piersi, jakich nie ma żadna dziewczyna.

Uważasz, moja piękna, że to się da dalej ciągnąć bez zmian? Mam pewne wątpliwości.

- Jo? Od kiedy twój mąż jest na morzu? - zapytał.

- Prawie dwa lata - mruknęła niechętnie.

Tak - stwierdził w duchu - to prawie wszystko tłumaczy, oprócz jednego. Z wyjątkiem maskarady.

- Słuchaj - zainteresował się szczerze - nigdy się nie bałaś, że nagle przyjadę do ciebie do domu, do Mody? Do diabła, nie wiem gdzie!

- Ja w ogóle o niczym nie myślałam - powiedziała już trochę zdenerwowana jego uporem i dociekliwością, gdy po prostu nie było czego dociekać. - Przecież rozumiesz, że jak się już coś takiego zacznie, trzeba to ciągnąć, prawda? A ja cię dość dobrze poznałam, Andrzej. Masz mnóstwo zalet, ale nie gniewaj się, jesteś leniwy i masz duże poczucie godności. Wielkie mniemanie o sobie. Masz do tego podstawy. Byłam pewna, że nigdzie nie pójdziesz mnie szukać, nie będziesz dzwonił. A w ogóle, przepraszam cię za to wszystko, co zrobiłam.

- Z tego, co powiedziałaś, Li... Jowanko, wynika, że chciałbym mieć równie wysokie mniemanie o innych - zauważył i czekał, jakie to na niej wywrze wrażenie.

- Ach, Andrzej, gdyby nie ten cholerny wóz dzisiaj, byłoby nam dobrze, cudownie. Popatrz, takie lato... możemy zaraz wyjechać moim fiatem. Wziąć namiot, kochery. Wyjrzyj tylko na balkon. Ciepło, nie?

- Opanuj się, Jo - zauważył cierpko.

- Dlaczego? Czy dla ciebie aż tak dużo się zmieniło? - zapytała szczerze.

- Nie, zupełnie nic - powiedział niemal studiując słowa. - Ty idiotko! - wrzasnął nagle dziko, jak niegdyś potrafił - ty chodzący kawale drewna! Bezmyślna kłodo! Naprawdę niczego nie rozumiesz?! Ciekawy jestem, co zrobi twój małżonek, gdy szczęśliwie powróci z morza? Będzie cię szukał pod namiotem, z kocherami w ręku?

Przestraszyła się. Bardzo. Oczy jej zogromniały, skuliła się i zmalęła. Opanował się z trudem.

- Przepraszam cię - powiedział ze skrucą - wydaje mi się, że mógłbym cię zabić - stwierdził śmiertelnie obojętnie.

Jowanka wyprostowała się jak ściśnięta sprężynka. To ja cię zabiję - pomyślała mściwie - jeśli coś zrobisz mojemu Sławkowi. Jeżeli go skrzywdzisz.

- Nigdy nie wspominaj Sławka. Nigdy! – powiedziała głosem twardym jak stal. Urwała i przez chwilę mocowała się z gniewem. Gdy się znów odezwała, była tak samo łagodna, jak zawsze. - Ja mam znajomych w Gdyni, w kapitanacie portu. Oni dobrze znają terminy powrotu naszych statków. Zaraz dzwonią. Wiedzą, co to jest - czekanie. Nikt mnie nie będzie szukał ani znajdował pod namiotem.

Aha - pomyślał - trafiłem cię, dziecińko. Więc i ty masz swój słaby punkt. Jakaś moralność się w tobie jednak kołacze. Coś tam świta w twoim łebku.

- Nie widzę powodu, dla którego mąż miałby być wyłączony z życia swojej żony - stwierdził okrutnie.

Jowankę ogarnęła rozpacz. Osiągnął nareszcie cel, dosięgnął ją - prawdziwą.

- Andrzej - odezwała się prosząco. - Czy ja ci zrobiłam jakąś krzywdę?

Zrobiłaś - pomyślał - ale nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jesteś godna współczucia, bo nie możesz tego pojąć.

- Słuchaj - ciągnęła zachęcona jego milczeniem - czy nie wyciągnęłam cię z choroby? Z beznadziei? Z... czy nie dałam ci wszystkiego, o co mnie prosiłeś?

- I brałaś, Lidio - powiedział diabelnie otwarcie.

- Jowanka! - krzyknęła histerycznie.

- Widzisz, dziecińko, jak łatwo wpada się we własne si-
dła?

- Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Byłam okropnie sama. Nie umiałam wziąć sobie zwyczajnie kogoś... no, kogoś...
ech, daj mi spokój! Nie każ mi mówić.

- A mnie co zrobiłaś? - zapytał spokojnie.
- Nic ci nie zrobiłam! - zawołała ugodzona w samo serce. - Co tobie w ogóle może zrobić jakaś dziewczyna? Ile ty tych kobiet miałaś?... Coś ty z nimi robił... Wiesz, co o tobie mówią?

- Nie interesuje mnie to, dziecinko - odpowiedział w taki sposób, że Jowanka zrozumiała - prosi na próżno. Mimo to spróbowała jeszcze raz, bo w milczeniu i zgodzie na to, co się stało, nie widziała żadnego rozwiązania.

- Andrzej - powiedziała do niego jak zawsze - przecież ty wszystko rozumiesz i na pewno więcej wybaczałeś.

Tak - pomyślał - masz rację, nieskończenie wiele, przez całe życie, stale, aż mnie to załatwiło. Dlatego z tobą nie powtórzę tego błędu.

Widziała z jego twarzy, z jego postawy, że już nic do niego nie dociera. Straciła wpływ, jaki miała na tego mężczyznę. Wstała, byle jak narzuciła szmizjerkę.

- W porządku, ja mogę tu więcej nie przyjść, ale jego zostaw w spokoju.

Gdyby Andrzej mógł w tej chwili spojrzeć na siebie z боку, zapewne zdziwiłby się sobą pierwszy raz w życiu.

- Ja muszę porozmawiać z twoim mężem, Lidio - powiedział spokojnie. Nigdy w życiu, nigdy dotąd czegoś takiego nie zrobił.

Boże mój - pomyślał jeszcze - kocham ją i co ja pocznę z tą kobietą, innym niż byliśmy, niż jesteśmy gatunkiem człowieka. Pragnę jej nawet teraz, w tej chwili, ale puszcę ją, bo chcę ją mieć zawsze, do końca. Chcę ją zmienić, wychować, nauczyć, czym jest miłość i kim jest człowiek.

Jowanka stała bez ruchu. Oczy jej ciemniały.

- Słuchaj - rzuciła z pogardą - mój mąż nie jest żadnym marnym aktorzyną, byle kim! Alkoholikiem ratującym się ofertą w „Kajusie”. On jest oficerem naszej marynarki.

Trzasnęły drzwi. Andrzej nie ruszał się z miejsca. Było mu słabo i zdawało mu się, że zemdleje. Nigdy nie miał takiego uczucia, jakby umierał.

Rozdział 23

Bardzo lubiła swój dom, swoje mieszkanie. Nigdy nie chciałyby się z Wiejskiej wyprowadzić. Bliskość Sejmu czyniła z tego zakątka Warszawy miejsce związane z historią, z dawnością stolicy. Ten fragment ulicy był godny i dlatego pełny ciszy, całkiem różny od reszty miasta.

Cały splendor i honor, jaki splotywał na nią przez Sławka, znajdował wyraz w miejscu ich zamieszkania. Tak dalece lubiła swój dom, tak wygodnie go urządziła, że wcale nie planowała urlopu, chociaż lipiec był tego roku upalny. Jeśli zaproponowała Andrzejowi wyjazd, to tylko dlatego, aby go czymś zjednać, uspokoić. Mimo wszystko, co mówiła, czuła się w stosunku do niego nie w porządku. Wołała jednak, że odrzucił propozycję. Stała czekała na iskrówkę z pokładu „Benjamina”.

Zadzwieć straszliwie ostro dzwonek naciśnięty niecierpliwą ręką.

Wariat czy co - rozłościła się Jowanka, a zobaczywszy listonosza, wpadła w jeszcze większy gniew.

- Pali się, proszę pana? - spytała zaczepnie. - Ja przecież słyszę. Nie można tak dzwonić. Czy pan jest głuchy?

- Nie mam czasu - oświadczył obojętnie listonosz, nie przyjmując wcale wyzwania - niech pani podpisze telegram z Gdyni.

Serce w Jowance najpierw stanęło, później wykonało skok do gardła, aby zjechać w dół ku żołądkowi i tam pulsować w ośmieszających człowieka drgawkach. Nie rozerwała jednak paska zaklejającego depeszę, odłożyła ją na bok. A przecież

gdyby się nie wstydziła samej siebie, rwałaby ją zębami i paznokciami.

- Gdzie mam podpisać? - spytała listonosza takim tonem, jakby nie obchodziły jej żadne telegramy.

Gruby palec wycelował w linię.

- Tutaj - wyrecytował mężczyzna.

Jeszcze poszła normalnym krokiem po dwa złote, oddała mu długopis i zamknęła za nim drzwi. Dopiero wówczas chwyciła depeszę, jak kobieta szalona, darła papier, niczego nie mogła odczytać z powodu mgły na oczach, trzęsły jej się ręce.

„Będę siedemnastego w domu. Zacumowaliśmy. Całuję mój milion, Sławek.”

Jowanka usiadła w przedpokoju na dywanie, w miejscu, gdzie stała. W rozhuśtanej wyobraźni już traciła swój wykończony, wygłaskany dom, ten jeden, którego pragnęła, i żaden inny.

Przecież Sławek przyjedzie i przestaną się bać - pomyślała jak kobieta tracąca grunt pod nogami i szukająca go w jedynym stałym punkcie na globie ziemskim - w mężczyźnie do niej należącym, któremu ufała bez zastrzeżeń. - Sławek nigdy nie zrobiłby mi krzywdy. Jest niezdolny do tego, co Andrzej. Milion. Sławek nic się nie zmienia. Nigdy się nie zmieni. Zawsze będzie mógł podpalić dla mnie świat.

Podpierając się jedną ręką, żeby nie upaść, wstała z podłogi. Ściskając depeszę w drugiej, poszła wprost do telefonu, jak desperatka zacierająca na lufę wycelowanego pistoletu, sztylet albo naelektryzowane druty. Przynajmniej wyobrażała sobie, że w takim stanie świadomości musieli znajdować się ludzie, którzy to robili. Bardzo sobie współczuła.

- Andrzej? - spytała tak, jak się czuła.

- Tak, słucham - odezwał się lakoniczny, bezosobowy głos Gandera.

- Dostałam telegram. Sławek będzie pojutrze w domu.
- Tym lepiej - stwierdził.
- Andrzej? - Odpowiedziała jej cisza i oczekiwanie. -
Błagam cię, proszę cię, zaklinam cię, zrobię, co zechcesz... ja
tylko nie chcę... nie mogę go ugodzić w ambicję. Słyszysz
mnie?

- Oczywiście, dziecinko - powiedział jak zawsze, jak
kiedyś, i nadzieja wstąpiła w komicznie drżące serce Jowanki.
- Słyszę cię świetnie - mówił Andrzej - nawet czekałem na
twój telefon. Mam, jak wiesz, sporo czasu na myślenie.

- Obraziłam cię, Andrzej - wtrąciła szybko - zachowałam
się okropnie. Nienawidzę siebie i przepraszam cię. Szczerze
żałuję. Powiedziałam idiotyczne głupstwo. Chciałam cię ude-
rzyć w coś, co sobie rzeczywiście cenisz. Żeby cię zniszczyć.
Och, nie wiem, dlaczego robimy takie rzeczy! Ty wiesz - dla-
czego. Naprawdę, podziwiam cię. Jestem bardzo dumna, że
chciałeś się mną przez tyle czasu zajmować.

- Poczekaj, Li... przepraszam, poczekaj, Jo - przerwał jej
ten potok maligny - wcale nie mam do ciebie pretensji o to, co
powiedziałaś. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, dziecinko.
Być może, czujemy się dlatego zawsze lepsi od gawiedzi. Kto
wybiera nasz zawód, wie, czym to się je. Nie martw się, Jo.

- Och, jak to dobrze, że mnie zrozumiałeś - jęknęła Jo -
dlaczego ja to zrobiłam. Zadzwońisz do mnie w przyszłym
miesiącu, prawda? Albo wtedy, kiedy będziesz miał ochotę.

- Naturalnie, dziecinko, zadzwonię znacznie wcześniej -
odparł spokojnie. - Doszedłem dzisiejszego ranka, nawadnia-
jąc bluszcz, do pewnego wniosku. Słusznego, jak sądzę. Nigdy
sama się nie wypłaczesz z sytuacji, w którą popadłaś. Będziesz
robić coraz większe głupstwa. Jak dwa a dwa cztery, zmarnu-
jesz sobie życie i narazisz na duże kłopoty kapitana Klementa.

Załatwię to za ciebie. Możesz mi zaufać. Bezboleśnie i skutecznie.

Cisza trwała w telefonie. Andrzej nie uważał za potrzebne przerywać jej ani cokolwiek przyspieszać. Pierwszy, jedyny i, był pewny, ostatni raz postanowił być konsekwentny w stosunku do kobiety. Zmusić ją także do konsekwencji. Nareszcie wyciągnął wnioski z przeszło pół wieku życia.

- Ty... ty nie mówisz tego poważnie? - zapytał drżący głos, strzęp głosu Jowanki.

- Przeciwnie, Jo, nigdy nie mówiłem niczego bardziej serio. Nie zdecydowałem się na bardziej skuteczne i sensowne działanie. Nie zrobisz z kapitanem Klementem tego, co ze mną w pewnym okresie życia uczyniły kobiety. I ty mi kiedyś za to podziękujesz, gdy dorośniesz i będziemy mogli porozumieć się lepiej.

Znów trwała cisza i Andrzej słuchał jej z zadowoleniem, bo gdy Jowanka się odezwała, można było mieć nadzieję, że będą z niej ludzie. Ta dziewczyna miała jednak charakter.

- Czy to jest twoje nieodwracalne postanowienie? - zapytała Jowanka krótko, całkowicie nad sobą panując.

- Nieodwołalne, dziecinko.

- Do widzenia, Andrzej - dodała tak, jak się zawsze żegnali, do jutra, na następny dzień. - Zobaczymy się, gdy Sławek przyleci z Gdyni. Proszę, zawiadom mnie, kiedy zechcesz się z nami spotkać. To, mimo wszystko, przeżycie dla mnie i muszę się do niego przygotować.

Słuchawka upadła. Andrzej odczekał chwilę i położył swoją.

Tak, Jo - pomyślał - tak będzie najlepiej dla nas trojga. Jeden trójkąt w historii świata rozstrzelany. Uratujemy troje ludzi.

Czuł się świeżo. Bluszcz z powodu wczesnego ciepła

zielenił się i pienieł. Rzucił się na balkon sąsiadów z góry. Andrzej pomyślał, że musi zejść na czwarte piętro i zapytać, czy państwo Adamiakowie życzą sobie mieć bluszcz na balkonie. W takim wypadku nie przeszkadzałby zajadłej roślinie robić, co się jej podobało. Jemu bardzo się w niej podobała żywotność.

Wyszedł na schody i powędrował do Adamiaków. W mieszkaniu u sąsiadów nikt się nie odzywał.

Ludzie powyjeżdżali na urlopy - pomyślał. - Pół Warszawy wyjechało, a ja dzięki stałemu oczekiwaniu Jowanki na powrót kapitana Klementa tkwię w Warszawie na balkonie. No i nie za bardzo sobie krzywduję. Wolę ten balkon od Śródziemnego. Mógłbym dawno płynąć do Sorrento. - Uśmiechnął się i wrócił do mieszkania. Zapytam Adamiaka, czy chce mieć bluszcz, czy nie, na jesieni.

*

Jowanka, odkładając słuchawkę, drugą ręką już szukała kluczyków do samochodu. Gdzieś tu leżały obok telefonu. Tam je wczoraj rzuciła, później nigdzie nie wyjeżdżała. Znalazła kluczyki, schowały się pod popielniczkę. Nie miała czasu zapinać trepeków, które Sławek razem z torebką przywiózł jej z Hawru. Wsunęła nogi w drewniane sandały. Były też ładne. Spieszyła tak bardzo, jakby od pięciu minut zależało życie, jakby na pięciu minutach zawisł spokój Sławka. Była zdecydowana przekonać Andrzeja, że nie wolno mu niszczyć niczyjego domu, zwłaszcza człowieka, który wracał do niego po dwóch latach, stale wracał po miesiącach lub latach i z tego powodu miał wyidealizowany obraz nie tylko domu i żony, ale kraju. Kiedy zaś Jo postanowiła kogoś do czegoś przekonać, wiedziała, że to zrobi, nic i nikt jej w tym nie przeszkodzi.

Zbiegła po schodach, jakby niosły ją skrzydła i coś kryło się w tym locie - niewzruszona wiara w słuszność swojego żądania. Otworzyła wóz bardzo pewną ręką, pomyślała przy

tym, że to jest wóz kapitana Klementa, jej męża. Ruszyła z piskiem opon, nie zwracając na to uwagi, chociaż wiedziała, że na Wiejskiej nie lubiano podobnych hałasów.

Ilekróć jechała do Gandera, zawsze parkowała w pewnej odległości od osiedla, często podjeżdżała na przystanek autobusem. Od kiedy po Warszawie kursowały pospieszne Berliety, wozy miejskie zajeżdżały jeden za drugim i z komunikacją na krańce miasta między osiedlami nie było kłopotu.

Jowanka prowadziła wóz jak w transie, z takim samym przekonaniem, z jakim zbiegała ze schodów. Mijała skrzyżowania i okrążała ronda, wszystkie inne wozy zostawiała za sobą, aż wjechała w sam środek osiedla na główny ciąg komunikacyjny i podjechała pod dom Andrzeja. Wyskoczyła tak prędko, że silnik jeszcze drgał. Zatrzasowała wielokrotnie drzwiczki, ale ich nie zamknęła. Nie miała czasu. Nie czekała na windę, pobiegła w górę przeskakując po dwa schody na raz. Po drodze wyjmowała klucze do zatrasku.

Andrzej usłyszał podjeżdżający samochód. Było samo po ludnie, słońce dziko paliło, żywy duch nie włączył się na dole skwerami. Kto jeszcze siedział w mieście, krył się w domu albo na swoich balkonach pod markizami. Andrzej podniósł się z leżaka, odłożył Balzaka, którego mógł czytać zawsze, przez całe życie. Przypuszczał, że to Jowanka podjechała i wcale się zdziwił, rozpoznając z góry jej fiata. Wychylił się z balkonu, uśmiechając się do siebie, bo Jo krzywo, nie dbale zaparkowała, i to też było tak bardzo do niej podobne. Wychylił się przeto mocniej, żeby zobaczyć, czy Jo siedzi jeszcze w samochodzie, i gdy będzie wysiadać - zażartować z dziewczyny. Tak nie spieszyła do niego nigdy, gdy nareszcie okazał charakter i postanowił pokierować jej i swoimi sprawami. Czuł się do tego przez nią upoważniony równo dwa lata temu.

Jowanka otworzyła łątwo drzwi wejściowe. Delikatnie trzasnęły. Nie starała się go zaskoczyć. Weszła do pokoju i zobaczyła właściwie tylko jego długie nogi, reszty Andrzeja nie było. Poszła prosto w stronę balkonu, domyślając się, że on widzi wóz na dole i sądzi, że ona jeszcze z niego nie wysiadła.

Szła też niespecjalnie lekko, ale w połowie pokoju zostawiła drewniaki i już widziała tylko zgiętą w pasie, przewieszoną przez balkon sylwetkę. Myślała, że Andrzej postępuje nieostrożnie. Dziwne, ale nie słyszał jej. Była tuż za nim, ciągle się nie odwracał, szukając kogoś na dole, kogo dawno tam nie było - jej.

Jowanka wyciągnęła rękę i pchnęła.

Gdy biegła z powrotem w dół, olbrzymi, czarny cień, jak wielki ptak, dogonił ją i przesłonił na chwilę słońce. Rozległ się ogłuszający, straszny łoskot, od którego zamarło w niej serce i krew przestała krążyć w żyłach. Jowanka przytuliła się do ściany na klatce schodowej i chyba na krótkie sekundy straciła świadomość, gdzie się znajduje i co się koło niej dzieje. Usłyszała najpierw szum i gwar, ludzką bieganinę, beładne, wystraszone nawoływania, oderwała się wtedy gwałtownie od swego oparcia, ale na dwór wyszła niespiesznym krokiem.

Bez przeszkód wsiadła do wozu, widząc we wstecznym lusterku tylko zbity w koło, szczelny, pochylony i już milczący tłum. Same ludzkie zmartwiałe ze zgrozy plecy.

Jowanka zapaliła silnik i odjechała. Więcej nie widziała Andrzeja Gandera.

Rozdział 24

Wróciła z lotniska bardzo zmęczona. Kiedy samolot kołował na pasie startowym ni stąd, ni zowąd przyszło jej do głowy, że ostatni raz odprowadza męża na lotnisko. Ostatni raz

tutaj stoi. Nie zobaczą się nigdy więcej. Właściwie czekała na to przez całe trzy miesiące, kiedy przebywał w domu. Cokolwiek robiła, cokolwiek mu podawała, o czymkolwiek rozmawiali, starała się to robić dobrze, zwłaszcza wyczerpująco odpowiadać mu na pytania i czyniła to, aby nadrobić wieloletnie milczenie, zapełnić lukę, jaka by mogła powstać po niej w jego wyobraźni.

- Zmieniłaś się, Jo - powiedział Stawek jakiegoś dnia i dodał zdziwiony: - Zaczęłaś myśleć.

- O czym? - zainteresowała się Jowanka.

Kapitan Klement roześmiał się wtedy.

- Przestałaś żyć jak roślina.

Przypomniał jej w ten sposób i niespodziewanie balkon Andrzeja, straszny bluszcz, który ją prześladował w nocy i w dzień. Zerwała się wówczas z krzesła i zostawiła męża samego przy stole. Mimo wysiłków, jakie czyniła, wiedziała, że kapitan nie wyjeżdża spokojny i że tym razem nie wejdzie na pokład statku, zostawiając wszystko poza sobą, jak musi i powinien robić każdy człowiek pracujący na morzu.

Jowanka weszła do windy, wysiadła na drugim piętrze i nie patrząc na drzwi grzebała w torbie.

- Pani kapitanowa Jowanka Klement? - ktoś zapytał.

Uniosła głowę i lekko nią skinęła.

Wiedziała - pomyślała - cały czas wiedziałam, i dobrze, że nareszcie są. Czytałam to w oczach Lidki. Musieli ją wypytować. Lidka jest zbyt naiwna i za porządna, żeby coś ukryć. Zwłaszcza przede mną. Nie będę świadkiem na ślubie Lidii i nigdy nie zobaczę Rafała. Będzie żałować w dzień ślubu, jak ją znam, że mi go nie chciała przedstawić. Ale dla niego to teraz lepiej.

- Czy pani może udać się z nami do Komendy? - spytał mężczyzna przy drzwiach. - Zaraz?

- Mogę.
- Może pani chce coś zostawić w domu?
- Nic.

Zjechali z powrotem na parter. Na dworze mężczyzna znów ją zapytał:

- Czy pani weźmie swój wóz?

Oho, znają mój wóz - pomyślała - no tak, czego się miałam spodziewać.

- Nie - odparła - po co taskać ze sobą dwa wozy?
- My panią odwieziemy z powrotem - zapewnił mężczyzna.

Wsiadła z nimi do milicyjnego fiata. Niczego się nie bała. Trzy miesiące tak mocno na nich czekała, że pojawienie się obcych mężczyzn obok drzwi przyjęła niemal z ulgą.

- Pani będzie rozmawiać z kierownikiem naszej grupy operacyjnej - poinformował ją jeden z mężczyzn.

Zrozumiała, że traktują ją nadal jak żonę kapitana Klementa. To była chyba ostatnia rzecz, jaką Sławek dla niej zrobił.

- Dobrze - odparła spokojnie.

Kapitan Korda nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała, i była tym przez chwilę rozczarowana. Ale gdy spotkały się ich oczy, zmieniła zdanie.

- Przepraszam, że zaprosiliśmy panią zaraz po odlocie męża, ale śledztwo w sprawie pana Gandera nie powinno się już dłużej przeciągać.

- Jakie śledztwo? - spytała tylko. - Andrzej Gander wyskoczył z balkonu.

- Skąd pani to wie?

- Znałam dobrze Andrzeja i byłam pod jego domem w chwili wypadku.

- Nie. Pani była w chwili nieszczęścia w jego mieszkaniu - stwierdził krótko kapitan Korda.

Zgodziła się z nim łatwo, spuściła głowę.

- A mój mąż? - spytała z oporami. - Co będzie z moim mężem? On... on...

- Statek kapitana Klementa jutro wychodzi z portu. Pani mąż nie wróci wcześniej, jak za rok. Pani sprawa będzie dawno zakończona. Nic bezpośrednio nie dotknie kapitana Klementa. Zadbam o to. Osobiście. Czy pani mi wierzy?

- Tak. Wierzę. Chcę, żeby on mnie nigdy więcej nie zobaczył.

Korda spojrzął na nią nie bez pewnego uznania.

- Nie zobaczy - stwierdził krótko.

Rozdział 25

- Ja tak sobie myślę - powiedziała Jowanka po prostu, jak mówią dziewczyny z małych miast, zanim otrą się o wielki świat i zapragną się do niego dopasować - więc, ja tak sobie myślę, że ludzie, którzy się kochają, powinni być zawsze razem.

- Samotność jest najgorszą rzeczą, jaką znam. Ale nie tylko o to chodzi, że człowiek tęskni za chłopcem, no, gdzieś tęsknota musi się pomieścić, panie kapitanie. Wiem teraz, że nie ma żadnego innego wyjścia z samotności i tęsknoty, jak drugi mężczyzna. Nie wiedziałam tylko, że człowiek przez to nie pozbywa się miłości ani strachu o kochanego.

- My z Lidką, proszę pana, znamy się od zawsze, ale Lidka nigdy nie miała takich dużych ambicji, jak ja. Lidka przyjechała do Warszawy znaleźć fach i zarabiać. Ja chciałam podbić świat, komiczne, nie? Zaimponować sobie i znajomym, kolegom i przyjaciółkom ze szkoły.

- Teraz myślę, że gdybym nie rzuciła studiów, może bym przed panem nie siedziała. Kobieta też człowiek, nie tylko stworzenie kanapowe, jak na przykład pinczerek albo ozdobna poduszka.

- To niedobrze wszystko mieć i stale nic do roboty. Wie pan, na starych, śmiesznych filmach z tamtej Polski, kobiety ciągle leżą w szlafrokach z atłasów na różnych kanapach. Jak się mieszka w małym mieście, to człowiek sobie wyobraża, że to musiało być cudowne. Kiedy coś się zobaczy ze świata, wie się, że tamten styl się przeżył jak stary film. No, ale do tego wszystkiego dochodzi się powoli.

- Nie uwierzy pan, życie człowieka może potoczyć się krzywo z powodu paczki zbyt długo przetrzymywanej na poczcie. Oczywiście, powie mi pan zaraz, że sama paczka nie może zrobić nic takiego i będzie pan miał rację. Muszą nastąpić różne dodatkowe okoliczności, o których mówiłam. Potem już wystarczy paczka z domu.

- Andrzej Gander zawsze mówił, że aktor podchodzi do lustra jak do narzędzia pracy. Może się w nim zobaczyć, skontrolować. Ja jeździłam do Lidki w podobnym celu. Była moim lustrem.

- Raz matka Lidki przysłała w straszny upał paczkę i Lidka bała się, że mama swoim zwyczajem napakuje w nią, co wlezie. Nie to, co można wysłać w paczce latem.

- Ona poszła na pocztę, ja zostałam u niej sama i nieraz tak było. Nie miałyśmy przed sobą tajemnic. Ogonek był na poczcie długi, jak zawsze po południu. Kupiłam jej tego dnia materiał na zasłony do okien. Trzeba panu wiedzieć, że Lidka nie umie zadbać o swoje interesy, a mieszkanie jest wizytówką dziewczyny, jeżeli już się go dorobiła.

- Schowałam materiał do szafy, ale przy okazji wyjęłam stamtąd pudełko, w którym Lidka chowa broszki, sztuczne kwiaty do sukien i ważne dla niej listy.

- Tak się złożyło, że od razu wpadłam na list Andrzeja Gandera do Lidki. Zupełnie zbaraniałam. Skąd Lidka mogłaby mieć takie znajomości? Nawet byłam pewna, że Lidia nie ma pojęcia, kim był kiedyś Andrzej Gander. My ze Sławkiem

gromadziliśmy wszystkie wielkie nagrania, nie tylko jazz i big-beat, ale symfoniczne, operowe, na instrumenty. Sławek mówił, że na statku, gdy ma chwilę wytchnienia, magnetofon jest ucieczką od samotności. Zwoził z całego świata longplaye, ja je przegrywałam na taśmy. Mamy w domu nie byle jaką dyskotekę, w której każdy coś znajdzie dla siebie.

- Wiedziałam, kim był u nas zaraz po wojnie Andrzej i jeszcze przez kilkanaście lat. Miałam w domu jego płyty. Nie mogę panu opowiedzieć, jak bardzo dziwiłam się nad listem. Andrzej Gander pisał w nim do Lidki, że będzie na nią czekał w Hortexie o siódmej wieczorem, chyba w piątek. Tak, to był jakiś piątek. Napisał numer swego telefonu na wypadek, gdyby coś jej przeszkodziło przyjść na umówione miejsce.

- To wprost nie do wiary, proszę pana, ale wcale nie przepisałam sobie numeru tego telefonu i zapamiętałam go tak świetnie, jak pamiętam telefon Lidii. Telefonowałam do niej czasem pięć razy na dzień.

- Dziwiłabym się do dziś, skąd Lidia zna Gandera, zwłaszcza że słówkiem o nim nie pisnęła, gdybym nie znalazła w pudełku kilku ofert „Kajusa”. Oferta Gandera nosiła numer trzynasty. Lidia ją zaznaczyła czerwonym długopisem, tak samo, jak drugą swojego Rafała. Teraz na Boże Narodzenie oni się pobierają. Od razu, wtedy, byłam tego samego zdania, co dziś. Gander dla żadnej dziewczyny nie był odpowiednim mężem. Po co Lidii facet z pięćdziesiątką na karku, który mnóstwo przeżył i zjadłby moją Lidię w kaszy.

- Toteż byłam bardzo na nią zła, że zaczyna z takimi mężczyznami, tymczasem ciągle nie wracała z poczty.

- Poskładałam listy w pudełku, nakryłam je sztucznymi kwiatkami tak, jak było, i usiadłam na tapczanie ciągle myśląc, że człowiek to bardzo dziwny i złożony stwór, nawet nasza mała Lidka. Kto by się po niej spodziewał takiego zagrania?! Zwłaszcza że jest ładna i mogłaby znaleźć sobie chłopca.

- Wie pan, dziś mało który chłopak chce się zaraz żenić, a Lidia o, Lidia jest maniaczką! Zaręczyny albo nie ma gadki, przepraszam pana, rozmowy.

- Pozwalam sobie, puszczam, roześmiała się, już nie jestem i więcej nie będę panią kapitanową. Mogę mówić, jak chcę, a zwłaszcza - myśleć.

- Lidka przyszła nareszcie z paczką z poczty, tam były cudowne papierówki z ogródka rodziców! Jadłyśmy jabłka i zaśmiewaliśmy się z niczego, robiłyśmy tak, gdy miałyśmy po czternaście lat!

- Cały czas czekałam, kiedy Lidia opowie mi o „Kajusie”, ale nie puściła pary z ust. Wreszcie zauważyła, że się na nią nienaturalnie gapię, i okropnie się na mnie rozżłościła. No cóż, przyglądałam się tylko komuś nowemu, kogo zobaczyłam w Lidii. Miała przede mną swoje tajemnice.

- Wtedy, w tym tygodniu, miałam imieniny kogoś z Ministerstwa Żeglugi. Lidia akurat wzięła sobie bluzkę z Mody, import z Wiednia. Ona jest bardzo oszczędna i rzadko coś kupuje dla fantazji. Tylko to, czego akurat potrzebuje.

- Bluzka była blusowa, przepraszam, świetna. Pożyczyłam ją od Lidki na te imieniny, chociaż mam, przepraszam, miałam szafy zapchane ciuchami. Wzięłam potem jeszcze spódnicę. Lidce bardzo to schlebiało, że pójdę z wizytą w czymś, co ona wybrała. W ogóle umiem się ubrać. Sławek zawsze mówił, że powinnam skończyć dekoratorstwo. Miał rację. Byłoby to chyba właśnie to, co chciałabym w życiu robić. Byłabym diabelnie szczęśliwa - dekorować ludziom życie. No, zrobiło się wprost przeciwnie i nie ma nad czym płakać, bo za późno.

- Był poniedziałek, gdy wzięłam od Lidki te rzeczy, pojechałam z nimi wtedy prosto do domu. Pamiętam, weszłam do przedpokoju, powitała mnie cisza. Nie znosiłam ciszy, proszę pana! Zaraz ogarnęła mnie taka nuda, że tylko zębami

ściany gryźć i drapać paznokciami parkiety. To nie były tygodnie ani miesiące ciszy, proszę pana, to były lata. No nic, pan pomyśli, że bronię się, chcę się tłumaczyć. O nic takiego nie chodzi. Chcę panu tylko wyjaśnić, że nie jestem psychopatką, łajdaczką albo coś gorszego.

- W środę poszłam na imieniny. Strasznie głupie, nadęte środowisko. Bluzka się spodobała. W czwartek zadzwoniłam do Andrzeja Gandera, powiedziałam mu, że jestem Lidka i nie mogę przyjść w piątek do Hortexu. Umówiliśmy się na sobotę w kawiarni na Rozdrożu. Zna ją pan? Cudna! Gander ucieszył się ze zmiany miejsca. Skąd mógł wiedzieć, że Lidka nie ma wyobraźni?

- Właściwie na tym mogłabym skończyć. Resztę lepiej opowiedziałyby panu Lidia, ale jak ją znam, nie puści pary z ust. Nic się od niej nie dowiecie, więc muszę sama skończyć. Lidia, proszę pana, nie powiedziała by nigdy na mnie nic złego, choćby ją na tortury brali. Tak samo broniłabym jej zawsze, cokolwiek by się z nią działo.

- Wpadło mi do głowy, że na spotkanie z Andrzejem mogę włożyć rzeczy Lidii. Ach, proszę pana, cóż to była za wspaniała zabawa! Nareszcie przestałam się nudzić i już nie tęskniłam tak dziko za Sławkiem! Jeśli moje życie nadal nie miało sensu i było zwyczajną tragedią, to chociaż czymś je zapchałam. A później... później zrozumiałam, że Andrzej Gander też jest K i m ś. Z dużej litery. I przestraszyłam się za późno, bo stałam między dwoma nieprzeciętnymi mężczyznami. Ja naprawdę, nigdy, nikomu nie chciałam zrobić krzywdy. Nie jestem taka.

Nie wyobraża pan sobie, nawet tacy mądrzy mężczyźni, jak Gander, którzy wszystko widzieli, co tylko można przeżyć i zobaczyć, dają się łapać na kompletne bzdury. Andrzej był bardzo zadowolony, że się powoli wypierzam dzięki niemu. Zauważyłam, że to nie jest wcale takie głupie, co zrobiłam dla zabawy. Wkładał we mnie wszystko, co sam umiał i potrafił.

W ten sposób alkohol przestał mu być potrzebny.

Kiedy to spostrzegłam, działałam już świadomie. Pozwoliłam mu się nauczyć ubierać i czesać, malować i zachowywać. A myśleć - nauczył mnie naprawdę. Nawet Sławek to zauważył.

- Zawsze miałam ucho do muzyki. Ale to Andrzej Gander nauczył mnie patrzeć. Widzieć. Obrazy i przyrodę, rzeźbę i rysunek.

- Nie chciałam, żeby wiedział, jak mieszkam i że mam wóz. Parkowałam zawsze daleko od osiedla, podjeżdżałam do niego tramwajem albo autobusem. Pierwszy rok nie było wcale trudno ciągnąć mistyfikację. Był naprawdę ciężko chory, proszę pana, i musieliśmy okropnie walczyć oboje, żeby wyszedł z alkoholu. Później już nic a nic nie potrzebował wódki, zaczął się kręcić po mieście, zrobił się ruchliwy. Codziennie myślałam, że mnie nareszcie przyłapie.

- Pan myśli, że się bałam? Wiem, wy jesteście wszyscy okropnie serio ludzie. Nie, proszę pana, mnie w gruncie rzeczy już później byłoby nawet lepiej „wrócić do siebie”, ale Andrzej był taki leniuch! Lubił, żeby mu podawać, głaskać go, zgadywać jego myśli i podziwiać. Ja to wszystko robiłam. Naprawdę podziwiałam go. On się po prostu nie namyślał nade mną. Nie wiedział, że dla mnie zabawa jest zabawą, a jedyna ważna sprawa, jaką mam w życiu - to Sławek. Dlatego mnie było wszystko jedno, czy będę dla Andrzeja Lidką czy Jowanką, jeśli już przełamałam lęk o reputację męża i nie siedziałam sama w domu, jak kotek.

- Raz poprosił mnie o swoją ofertę z „Kajusa”, na pamiątkę. Zrobił mi cholerny kłopot. Musiałam wyczekać, aż Lidka zmyje się gdzieś na dłuższą chwilę, i wyciągnąć jej tę ofertę.

- Wykorzystałam ją później na wycyganienie od Andrzeja listu Lidii. Pan rozumie, w zamian za ofertę. Nie mogłam

nic do Andrzeja napisać. Lidka stawia litery niczym niemowlak. Pisywałam na maszynie Sławka i tylko podpisywałam się ręcznie.

Długo miałam w domu list Lidki do Andrzeja. Zniszczyłam go dopiero, gdy Sławek przyleciał na ostatni urlop.

- Ofertę, wie pan, schowaliśmy z Andrzejem w sekretce. W ramie szesnastowiecznego lustra. Pan ją tam znajdzie. To przepiękne lustro, a rama nadaje się do muzeum. Prawdziwy artysta rzeźbił ornament. Andrzej taki sam bluszcz zaprowadził u siebie na balkonie.

- Życie byłoby łatwe i cudowne, gdyby ludzie nie brali wszystkiego za poważnie.

- Andrzej się okropnie zmartwił, gdy pewnego dnia przyłapał mnie w fiacie Sławka na mieście. Był zdruzgotany, że mam też swoje życie. Wcale nie pamiętał, że pomogłam mu wyleźć z rzeczywiście ciężkiej choroby i nie chciał się nauczyć mówić do mnie Jo, zamiast Lidka. A co to za różnica?

- Dlaczego mężczyźni są tacy dziwni, panie kapitanie? Było świetnie i mogło nam być dalej świetnie.

- Wie pan, co ja teraz uważam? Myślę, że nie wzięłam pod uwagę tylko jednego - on mnie naprawdę pokochał.